Numer 21. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 22 Maja 1927.



ROLA

KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy

— Jak się masz, Bartoszu?
— A niosę gęś na targ w koszu.
— A jak się tam wasi mają?
— Dwa złote za niego dają.
— A żona, a dzieci?
— O, nie poleci, nie poleci, bo skrzydła ma związane.



— Miły deszczyk — rzekł rolnik — pożądany wszędzie.
On nam z ziemi wszystko wydobędzie.
— Uchowaj Boże — krzyknie sąsiad przestraszony —
...Ja tam mam trzy żony!...



Na polowaniu.

— Znów mnie postrzeliłeś...
— Dziwna rzecz, ile razy mierzę w zająca, trafiam w ciebie. Odtąd mierzyć będę w ciebie może trafię w zająca...

Dokładne obliczenie.

Sędzia: — Gdy więc oskarżony dał panu pierwszy policzek, co się stało?
Świadek: — Dał mi potem trzeci!
Sędzia: — Jakże to? Pierwszy zaraz trzeci?
Świadek: — Tak, panie sędzio... bo drugi to ja dałem jemu.



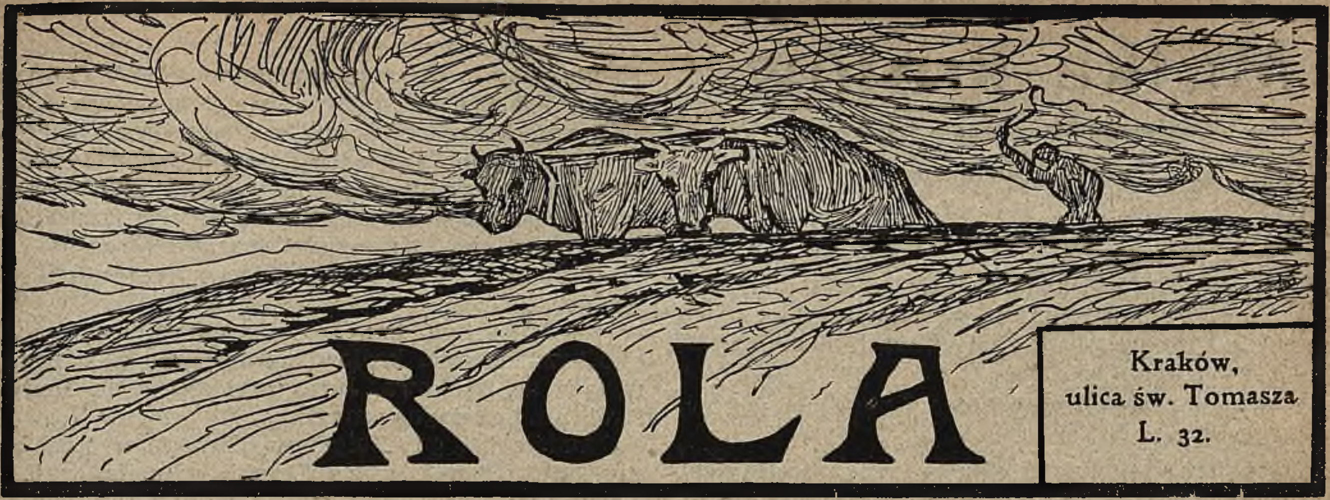
U pośrednika małżeństw.

— Nim panu podam adres dobrej partji, musi pan przedtem złożyć 20 złotych zaliczki.
— Czy pan sądzi, że gdybym miał 20 złotych, tobym się chciał żenić?

Zrozumiał!

Do pracowni artysty przychodzi żebrak:
— Dostaniesz pięć złotych, jeżeli dasz się wymalować, — proponuje mu artysta.
Żebrak się waha.
— Nie chcesz?
— Dobrze, proszę pana, ale czy się to później z twarzy zmyje?

Numer 21. Rok X. Kraków, dnia 22 Maja 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.** Konto P. K. O. 406.301.

Kochaj bliźniego!

Nie masz piękniejszego przykazania, jak to, które powiada: »Kochaj Pana Boga nadewszystko, a bliźniego twego, jak siebie samego!« I zdawałoby się, że jest ono bardzo łatwe do wykonania. A tymczasem jakżeż jest inaczej! Pominmy narazie miłość ku Panu Bogu, bo te posiada niemal każdy człowiek w mniejszym lub większym stopniu, a objawia ona się nie wśród dostatku i szczęścia, ale niemal prawie wyłącznie w czasie niedoli i cierpień. Wszakże nawet najzagorzalszy grzesznik i niedowiarek, jeżeli go spotka nieszczęście, przypomina sobie o Bogu i zwraca się do Niego z gorącą prośbą, w której choć szczypta miłości być musi.

Inaczej rzecz jednak ma się z miłością ku bliźniemu. Jeżeli brakiem tej miłości grzeszy człowiek zły, bezbożnik i niedowiarek, to temu się bardzo dziwić nie można, bo on przestępując niemal wszystkie przykazania Boże, nie będzie zachowywał i tego jednego, chociaż najważniejszego. Ale niestety to piękne przykazanie przestępują bardzo często, za często nawet ludzie skądinnąd dobrzy zacni, uczciwi, którzy pozornie nie byliby zdolni do złamania żadnego prawa Bożego. Wykraczają przeciw temu przykazaniu ludzie, którzy głośno się zowią katolikami, którzy innych chrzczą mianem masonów i niedowiarków. Jeżeli łamie to piękne przykazanie człowiek pojedynczy, że tak powiemy, prywatny, toć wówczas zło jeszcze nie jest tak wielkie. Ale o ileż ono nabiera znaczenia i siły, jeżeli przykazanie to łamie człowiek stojący na odpowiedzialnem stanowisku. Oto co naprzykład wart byłby kapłan katolicki, któryby głosił nawet najpiękniejsze prawdy wiary, któryby gromił wykroczenia innych, a sam żywiłby przeciwko bliźniemu swemu jakąś urazę, któryby ze swej strony nie potrafił przebaczyć choćby najcięższej przewiny bliźniego. Co wart dajmy na to dziennikarz, który w gazetce swojej ma na czele wypisane święte imiona: Jezus, Marja i Józef, a który na dalszych stronicach tejże samej gazetki obdziera ludzi z dobrej sławy, zarzuca im czyny, których oni nigdy nie mieli. Człowiek taki to nie katolik, ale taki sam faryzeusz, jakich bezwzględnie Pan Jezus potępił.

A, niestety, od takich faryzeuszów Polska nasza roi się. Mamy ich we wszystkich stanach i na wszystkich stanowiskach. A są oni stokroć gorsi od najpospolitszych zbrodniarzy. Bo ci ostatni działają otwarcie, wobec czego ludność wie, z kim ma do czynienia i potrafi się od nich uchronić. Ale faryzeusz, który w imię czystości sprawy rzuca kalumnje na swego bliźniego, w formie dbałości o rzeczy święte, zaszczepia w społeczeństwo jad moralny, który nieobliczalne szkody wyrządza.

W Polsce to zło rozpowszechniło się niemal epidemicznie. Jeżeli weźmiemy do ręki jedną i drugą gazetkę, tak zwane katolickie, to niemal na każdej stronicy spostrzeżemy bluzganie błotem na przeciwników politycznych, którzy nie chcą podporządkować swych przekonań przekonaniom cudzym. Leczenie ułomności ludzkich jest wprawdzie naszym obowiązkiem, ale leczmy je nie kalumnjami, po największej części nieprawdziwymi, ale miłością i dobrem słowem, a przedewszystkiem przykładem własnym. Takie dopiero postępowanie wyda upragnione owoce i przyniesie prawdziwą korzyść tak dla katolicyzmu, jak i naszej Ojczyzny.

Ileż to zarzutów stawiały i stawiają niejedne pisma, tak zwane katolickie, ludziom zajmującym wysokie stanowiska, iluż to tak zwanych luminarzy katolicyzmu powtarzało publicznie te zarzuty! Nie chcemy twierdzić, aby wszystkie te zarzuty były nieprawdziwe, owszem wierzymy, że ten i ów nie mijał się z prawdą, ale wiemy to zresztą wszyscy, że większość ich była poczęta li-tylko w bujnej fantazji przeciwnika danych osób.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

12. Obrona.

Wprędce w ulicy ukazało się kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt koni, ludzie zbrojni, rycerstwo polskie, dwór jakiś pański. Był to nadbiegający Zbigniew z Brzezia, marszałek, który przed gospodą z konia zsiadłszy, natychmiast Siemiona powołał groźno do siebie...

Litwin widział go przy królu i nie mógł wątpić, że od niego przybywał.

Marszałek zapytał o sprawę całą, szorstkiem i krótkiem słowem i kazał sobie zdać komorników królowej. Dwie Szczukowskie, nie mówiąc nic, zostawił w ręku Siemiona i kazał mu się samemu z oddziałem wynosić stąd...

Ani się śmiał opierać Połoczanin.

Marszałek dopytawszy o królowę, ociągając się, szedł do niej, kosztowało go to wiele być zwiastunem złej wieści, lecz mógł być też dobrą radą uciśnionej.

Femka usłyszała kroki i wyszłą naprzeciw niego. Pokłoniła mu się do kolan z płaczem.

— O panie panie! ratuj nas! ratuj! Królowa tego nie przeżyje!...

Szepcząc coś niewyraźnie, prowadziła go do niej.

Leżała, nie rozdziawszy się, w sukniach podróżnych, blada i zmieniona do niepoznania, piękna Sonka... Napróżno ocierała łzy i tłumiła jęki — srogi żal nie dawał jej spoczynku. Wyciągnęła rękę do nadchodzącego...

Marszałek stał przed nią pokorny, przemówić nie śmiejąc,

Milczenie jego tłumaczyła przytomność Femki, królowa kazała jej się oddalić i powoli z łoża się podniosła. Z rękami załamanemi zbliżyła się do marszałka:

— O! ja nieszczęśliwa! — zawołała, łkając. — Na to on mi dał koronę... na to, aby mnie okryć sromotą... I nikt, nikt nie przyjdzie mi na ratunek! Zaprzysiągł się zgubić mnie Witold... O! niechbym umarła wprzódy!...

Zbigniew z Brzezia przerwał:

— Miłościwa pani — odparł — nie umierać trzeba, ale żyć, aby tę potwarz zmyć. My wszyscy staniemy w waszej obronie. Ochmistrz wasz, Malski, poważniejsi ludzie, żony nasze... Król jest łatwowierny... Wielki Książę mściwy...

Słysząc to, nieco śmielej podniosła głowę zbolałą królowa.

Zabrali mi dwie najulubieńsze sługi... Komornicy wszyscy...

— Książę Witold domagał się gwałtownie tych dwu dziewek — rzekł marszałek — komorników nie daliśmy, uwięzieni są, ale i ci się oczyścić mogą.

Stojąc, rzucała głową rozpaczliwie królowa.

— Na matkę swych dzieci, na żonę, rzucić taką potwarz, dozwolić uwierzyć słowu mściwemu... Cóż się ze mną stanie... Macież wy rozkazy mnie uwięzić? dokąd zaprowadzicie?

— Ja nie mam żadnego rozkazu — rzekł marszałek — wolą jest króla tylko, abyś miłość wasza, nie czekając na niego na Rusi, udała się z powrotem do Krakowa.

Królowa już nieco ochłonąwszy, zadumała się.

— Ratujcie wy mnie — rzekła — pomóżcie mi. Ja nie wiem o co mnie obwiniono, ale się domyślam łatwo. Niechże z ust męża wiem, jakie ma dowody winy, niech mnie skazanej bez sądu da się wytłumaczyć przed sobą. On jeden sędzią moim być może. Ja się z nim widzieć muszę... nie pojadę stąd, chyba mnie weźmiecie gwałtem, jam chora... Jam srodze dotknięta i obrażona... potrzebuję sprawiedliwości!

Mówiła i łkała, ręce łamiąc, a marszałek stał i wzdychał.

— Miłościwa Pani — odezwał się w końcu — choćbym się miał królowi narazić, nie będę naglił o wyjazd do Krakowa. Jutro zajedziemy do Medyki... Król tam nadciągnąć musi.

Dniało już, gdy Zbigniew z Brzezia wyszedł smutny od królowej, którą Femka zmusiła wyjść na spoczynek.

Lecz trwał on krótko. Sonka nie chciała dłużej bawić w miejscu, gdzie ją spotkało nieszczęście takie, i domagała się, aby natychmiast jechać do Medyki.

Litościwy i wyrozumiały marszałek zastosował się do jej woli. Zmniejszony dwór połączył się z pocztem Zbigniewa i w milczeniu ruszył ku Medyce.

Królowa przybywszy tu, powtórzyła marszałkowi, że dopóty tu mieszkać będzie, dopóki się z królem nie zobaczy. Jagiełło miał wkrótce nadciągnąć, lecz można było przewidzieć, iż zechce spotkania z żoną uniknąć i od Medyki, dowiedziawszy się o niej, zawróci.

Radził więc marszałek, aby raczej szukać Jagiełły gdzieindziej. Królowa się zgodzić na to niechciała.

Dano wreszcie wiedzieć, że król przybywa. Marszałek zmuszony był wyjechać na jego spotkanie.

Zostawiony sam sobie Jagiełło przez ten czas cały dręczył się tem, co uczynił, i tem co dalej pozostawało do czynienia. Potrzebował rady, której nikt mu dać nie mógł.

Gdy marszałek w lasach o mil kilka od Medyki dopędził nareszcie Jagiełłę na noclegu pod namiotem, wśród dzikiego ostępu, z niewielką liczbą łowczych, przeraził się jego zmienioną, zdziczałą niemal twarzą, do której dobrodusznego uśmiechu był nawykłym.

Król przyjął go zimno, trwożnie przewidując niemiłą rozmowę o królowej. Zbigniew chciał uniknąć wszelkiego tłumaczenia przy świadkach. Zbyszek, biskup krakowski, nauczył ich wszystkich śmiało postępować z Jagiełłą i prawdy mu nie ukrywać. Król niejeden raz bywał tak na biskupa zagniewanym, że go na oczy sobie dopuszczać nie pozwalał, a nawet odgrażał się śmiercią karać, później jednak przychodziło ostygnięcie, rozwaga, skrucha, bardzo często Jagiełło sam przepraszał i przebaczenia się domagał.

Tak samo i Zbigniew z Brzezia przygotowanym był króla do opamiętania się skłonić i choćby na gniew narazić, stanąć w obronie królowej. Z twarzy jeno mógł wyczytać Jagiełło, że mu potakiwać nie będzie i nie pochwali tego, co się stało.

Rozpoczął marszałek od sprawozdania swego posłannictwa, w niem już dając czuć, jak było niesprawiedliwem oddać na łup Witoldowym gniewom sługi królowej, uwięzić komorników, uczynić wrzawę i rozgłos, gdy wina była niedowiedzioną i nieprawdopodobną.

Jagiełło porwał się tłumaczyć i gwałtownie nastawać. Nie ustąpił marszałek.

— Królowa jest w Medyce — rzekł — i nie ruszy się do Krakowa, dopóki nie zobaczy się z miłością waszą.

— Ja jej widzieć nie chcę! — zawołał Jagiełło.

— Gwałtem się wywieźć nie da — odparł Zbigniew — a ma słuszność, miłościwy królu. Winniście ją wysłuchać. Może to być, aby oskarżonej tłumaczyć się nie było wolno? Witold stał się jej nieprzyjacielem dlatego, że mu w jego zamiarach dopomagać nie chciała. On tę potwarz ułożył i przysposobił.

Wtem król przerwał gniewnie.

— Nie chcę jej widzieć, słuchać nie chcę! Winną jest... winną... nie mówcie za nią!

— Miłościwy królu, ja nie za nią, ale za wami mówię — odezwał się Zbigniew. — Mam to przekonanie najmocniejsze, iż jest niewinną i niepoczciwie oszkalowaną. Nietylko ja, ale wszyscy urzędnicy dworu stać będą przy królowej, poświadczą za nią.

Przez krótką chwilę Jagiełło dumał, ale gniew wziął górę.

— Nie mówcie mi przeciw Witoldowi — zawołał — orle oko ma, wzrok jego lepiej widzi, niż moje stare źrenice, bystrzejszy on odemnie i od was.

— Cóż znaczy świadectwo nieprzyjaciela?! — rzekł marszałek.

Król począł się burzyć i rzucać.

— Nie wmawiajcie mi, co mam czynić... próżno! Nie chcę jej znać, żyć z nią nie chcę... kto mi ja dał, nazad niech bierze sobie, siostrzenicą jego jest...

Marszałek spojrzał tak śmiało i z takim wyrzutem na króla, że gniew jego uśmierzył się przed potęgą tego pogodnego wzroku.

Zamilkł i stał patrząc długo w ziemię.

— Niech się to raz skończy — zawołał. — Pojadę do Medyki... niech powie co ma na swą obronę, ale nie będę jej wierzył, bo nie mogę.

Uderzył się w pierś.

— Zdrada jej życie mi skróci... W grób mnie zapędzi ta kobieta... Co rychlej chcę się zbyć tego ciężaru... Nie... nie do Krakowa... odeślę ją na Litwę Witoldowi, abym więcej nie widział i nie spotkał.

W drodze dowiedział się król z nowem oburzeniem, że z komorników Sonki, ten właśnie, do którego on żal miał największy, zdrajca Hincza z Rogowa, uszedł z trzema innemi.

Chociaż orszak myśliwski króla nie był liczny, wysłano z niego człowieka z rozkazami, aby na wszystkie strony zbiegłych ścigać.

W oczach Jagiełły właśnie ucieczka ich była największym dowodem, że się poczuwali do zdrady. Groził im śmiercią, gdyby się w ręce jego dostali!

W takiem usposobieniu gniewny i strwożony przybył Jagiełło do Medyki...

Zaledwie z konia zsiadłszy, nie chcąc zajść na spoczynek do izb przygotowanych, stary król z pośpiechem, jakby mu ta ostateczna rozprawa ciężyła wpadł, wprost do komnaty królowej. Zabełkotał coś niewyraźnie, jak był zwykł, gdy się wzruszonym czuł mocno. Królowa postąpiła kroków kilka.

— Chcesz mnie bałamucić jeszcze? — krzyknął. — Ja wiem wszystko! nie chcę cię słuchać, wracaj skąd przybyłaś...

Splątał się, mówiąc pośpiesznie. Sonka stała na pozór spokojna.

— Ani się myślę bronić! — zawołała nareszcie. — Znajdą się ludzie, co mnie obronią. Nie poniżę się do tego stopnia, abym prosiła o litość i tłumaczyła się, gdy jestem niewinną. Są ludzie wiary godni, poważni, którzy mnie przeciw niepoczciwej zemście Witolda, a twojej łatwowierności obronią... Nie jestem pierwsza, którą ta potwarz spotyka... Los Jadwigi i Anny nie mógł mnie minąć... Spodziewałam się tego. Odgrażał się Witold dawno!

Król ciągle poruszony i zmięszany, zdawał się tych słów nie słyszeć, miotał się gniewny ciągle.

— Jedź, jedź się z nim rozpraw na Litwę... Wstyd mi i srom uczyniłaś...

— Tyś go sam rzucił na siebie — przerwała królowa. — Ty! ty! ty! Winowajcą jest twoja dziecinna łatwowierność, nie ja. Śmiało ci w oczy patrzę... śmiało mówię! Przekonasz się o niewinności mojej, ale ja krzywdy mej, krzywdy mojego dziecka... nigdy ci nie przebaczę!

Jagiełło rzucił się szalonym gniewem.

— Milczeć — krzyknął. — Wezmą na męki twoje pomocnice, twoich ulubieńców, wyda się zdrada. Wiem ja, że wam kobietom niepoczciwym słów i łez nigdy nie brak. Znam was... wszystkieście takie!

Począł się przechadzać po izbie.

— Nie miałaś litości nad mojemi siwemi włosami i ja jej mieć nie będę. Precz... na Litwę.

Królowa słowa już wtrącić nie mogła, cofnęła się kilka kroków i stała z założonemi na piersiach rękami, jak posąg blada, nieporuszona.

Ten spokój jej i duma króla zdawały się jątrzyć... wyzywała go.

Milczenie pogardliwe, wejrzenie zimne, napełniały go trwogą jakąś zabobonną, obawiał się podnieść oczów.

— Nie chcę słyszeć nic. Jutro niech cię odprowadzą na Litwę.

To mówiąc, skierował się ku drzwiom. Zwrócił głowę, jakby się spodziewał, że groźbą tą zastraszy i zmusi ją do pokory. Sonka nie drgęła nawet! tłumiła w sobie ból, lecz już była na wszystko przygotowaną, nawet na śmierć.

Nie było to zapewne sprawą wypadku, że tegoż wieczora, gdy król się najmniej spodziewał, nadjechał biskup krakowski.

Z tem spokojnem obliczem, które nigdy ziemskiej namiętności nie dało się ująć i malowało niezachwianą pogodę twarzy, Zbyszek wszedł wieczorem do króla.

Znalazł go nie gniewnym już, ale przybitym, znękanym, bolejącym. Z pośpiechem chciał Jagiełło wyspowiadać naprzód wszystko przed swym pasterzem, który mu usta zamknął stanowczem:

— Wiem o wszystkiem, miłościwy panie.

Spojrzeli sobie w oczy; Jagiełło nie wytrzymał wzroku, upokorzony siadł na ławie.

— Stało się wielkie złe — odezwał się biskup chłodno — potrzeba je naprawić.

— Królowa jutro wyjedzie na Litwę — odparł Jagiełło. — Odsyłam ją Witoldowi.

— Napisaliście wyrok na siebie, nie na nią — odparł Zbyszek powolnie. — Mam nadzieję, że się to postanowienie zmieni.

— Nigdy! nigdy! — wyjąknął król pośpiesznie.

— Zatem i tego, któremuście chcieli zapewnić koronę — rzekł biskup — należy odesłać Witoldowi i wyrzec się jej dla waszej krwi... Sromota padnie na dziecinę, na was, na to królestwo wasze, a sromota niezasłużona, kara bez winy, bo królowa jest niewinną!

Zerwał się król z gniewem wielkim.

— Jakto niewinną? Są dowody!

— Żadnych niema! — odparł śmiało biskup. — Widziałem ochmistrza królowej, męża nieposzlakowanej czci, który przysięgą gotów jest zupełną nie-

winność spotwarzonej nieszczęśliwej pani stwierdzić.

— Tak! — wybuchnął Jagiełło. — Umiała was wszystkich ująć sobie, przebiegła niewiasta. Służyli jej na dworze wszyscy, zakrywali.

Biskup słuchał, nie przerywając, jak najmniejszego nie ukazując poruszenia, jak gdyby do wyrazów zagniewanego pana nie przywiązywał najmniejszej wagi. Dawszy nieco ochłonąć Jagielle, począł zwolna.

— Nikt lepiej nie zna Witolda nademnie. Pan jest wielkich przymiotów, ale gwałtowny i samowolny. Solą w oku była mu ta królowa, która nie chciała być jego służebnicą. Pomnijcie, miłościwy panie, iż nie pierwszy on wam gwałt zadaje. Od innych myśmy cię starali się ochronić, a od tego też jest obowiązkiem naszym bronić cię. Są niepowetowane już szkody, lecz czas jeszcze choć ostatecznej sromocie zapobiedz.

Król mruczał niewyraźnie, ale nie odpowiadał biskupowi i w oczy mu nie śmiał spojrzeć, burzył się jeszcze w sobie i nagle powstał.

— Nie mówię już nic, gdy mi w sprawach państwa swoją wolę narzucacie, wy i inni odezwał się — ale to domowe są moje rzeczy, w tych ja panem; słuchać nie będę nikogo... Uczynię, co zechcę.

— Ja, jako kapłan i stróż sumienia odzywam się do was — rzekł Zbyszek. — Sami będziecie żałować porywczości waszej i uległości Witoldowi. Królowa jest niewinna, lecz gdyby nawet istotnie wina ciężyła na niej, ojcu rodziny i królowi przystałoby ją przed narodem osłonić dla czci domu, a nie czynić ją jawną. Na Boga...

Chciał mówić, Jagiełło mu przerwał porywczo.

— Nie mówcie o tem, proszę, dosyć mam utrapienia.

Na tem skończyła się rozmowa z biskupem, która, choć się zdawała bezskuteczną, wiedział Oleśnicki, iż zostawiony sam sobie król pod wpływem jej może zmięknąć. Trzeba mu było dać czas do rozmysłu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zatopiona ziemia.

Niejeden z naszych Czytelników w drodze do Ameryki lub podczas powrotu z niej przejeżdżał przez olbrzymi ocean Atlantycki i podziwiał te olbrzymie masy wód, jakie rozpruwała pierś wiozącego go okrętu. Lecz ani na myśl mu nie przyszło, że w miejscach tych, gdzie obecnie przewalają się bałwany wodne, gdzie tysiące okrętów kąpie się w spienionej wodzie morskiego olbrzyma, była ongiś taka sama ziemia, jak ta, po której my stąpamy i na której pola nasze zasiewamy i orzemy. Ziemię tę nazwano dziś Atlantydą; jak ona się nazywała wówczas, gdy istniała, niewiadomo.

Istnienie Atlantydy uważano do niedawna za baśń jakąś, za legendę, do której nie można było przywiązywać większego znaczenia. A jednak obecnie badacze przeszłości stwierdzają, że taka część świata niegdyś istniała.

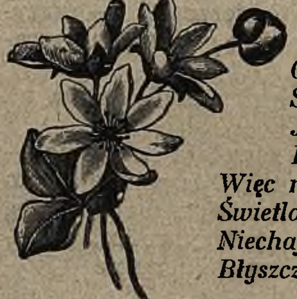
Taki ląd istniał i był zamieszkały przez ludność o wysokiej kulturze; ląd ten był wstrząsany wulkanicznemi katastrofami stokroć potężniejszemi od historycznie nam znanych. Katastrofy, trzęsienia ziemi i zapadania się lądów w rozdartych pasach pęknięć skorupy ziemskiej, wzdłuż wschodniego brzegu Azji, zachodniego brzegu Ameryki — dalej — rozsypana mnogość wysp między Azją a Australją — to ślady tych przyrodniczych rewolucyj.

Ale i dawniejsi uczeni w swych pismach stwierdzali istnienie ongiś takiego lądu. Oto jeden z nich, Platon, pisał, że na zachód od cieśniny Gibraltarskiej rozciąga się olbrzymia wyspa oddzielona od lądu licznemi małemi wyspami — zamieszkuje ją naród wojowniczy, rządzony przez potężnych królów. Atlantydzi posiedli wiele umiejętności, byli bardzo liczni, a ich przedsiębiorczość i odwaga wiodły do wojen zdobywczych, które doprowadziły do podboju morza Śródziemnego. I kto wie? czyby i Grecja nie poszła w jarzmo Atlantydów, gdyby nie straszliwa katastrofa, która pochłonęła cały ląd i zatopiła w wezbraniu fal walczące wojska.

Ażeby stwierdzić, czy rzeczywiście mógł na tem miejscu, gdzie dziś rozlewa się ocean Atlantycki, istnieć jakikolwiek ląd, warto przypatrzeć się na dno oceanu. Otóż dno to jest bardzo nierówne, środkowa część wznosi się jako długi grzbiet w kształcie litery „S" od północy ku południowi. Po obu jego stronach zapadają kotliny na 6.000 m. głęboko, podczas gdy sam grzbiet leży tylko 1000 m. pod poziomem morza. Grzbiet otoczony jest w całej długości rzędem wulkanicznych wysp. I rzecz niezmiernie ciekawa, że z wykopalisk Ameryki Środkowej wydobyto mnóstwo przedmiotów zabytków sztuki i kultury podobnych zupełnie do wykopalisk Egiptu. W r. 1912 ogłosiła prasa amerykańska, że wnuk słynnego archeologa, Szliemana w zbiorach swego dziadka posiada wielką wazę z bronzu, na której ma być napis „od Kronosa Króla Atlantydy". Szlieman miał być w posiadaniu „papyrusa", który mieścił opis kultury Atlantydy, oraz daty wykazujące początek egipskiej kultury na 16.000 lat przed Chrystusem. Zresztą resztki wysokiej cywilizacji znajdujemy rozsiane wokół kotliny oceanu Atlantyckiego, a cywilizacja ta stała na wysokim stopniu rozwoju.

Dziś nie ulega już wątpliwości, że Atlantyda istniała. W zamierzchłej przeszłości okresu trzeciorzędnego rozciągał się ląd od Europy do Ameryki, kataklizmy przyrodnicze rozbijały go w odłamy i zwolna pochłaniały je fale oceanu (w czasach obecnych pochłaniana jest obecnie wyspa Helgoland, może to czekać i Japonję i archipelag włoski). Pozostała była jeszcze olbrzymia wyspa, o której wspomina Plato, wyspa Atlantydy i tę zatopiły wkońcu fale w trzęsieniu ziemi i eksplozjach wulkanicznych. Wieści o Atlantydzie mogły być podane przez pozostałych nielicznych świadków katastrofy.

I tak z mgieł, baśni i podań wyłania się niespodziewana rzeczywistość istnienia niegdyś rodu człowieczego o wysokiej kulturze na olbrzymim lądzie, będącym dziś dnem oceanu.



Gdy dziecię się uśmiecha...

Gdy dziecię się uśmiecha,
Śmieje się cały świat,
Jaśniej się robi w życiu,
Bo dziecku każdy rad...
Więc nie mąć szczęścia małym,
Świetlanych nie psuj złud...
Niechaj wciąż na twarzyczkach
Błyszczy uśmiechu cud.

Aleksandra M.

Rzym, stolica świata chrześcijańskiego.



Któż nie słyszał o Rzymie i komu niewiadomo, że jest on stolicą całego chrześcijaństwa? Miasto to, położone niemal w samym środku Włoch, rozciąga się nad ujściem Tybru do morza Tyrheńskiego i liczy około miljon mieszkańców. Żadne miasto na świecie nie posiada tyle wspaniałych dzieł sztuki i tylu pomników, co Rzym. Starożytny Rzym był zbudowany z lewej strony Tybru na siedmiu niskich wzgórzach, z których palatyńska góra leży w środku, a dookoła otaczają je inne: najbliższe wzgórze kapitolińskie, a dalej na północ kwirynalskie. Między palatyńskiem a kwirynalskiem wzgórzem było główne ognisko życia starorzymskiego, tam na rynku odbywały się zgromadzenia i sądy, załatwiano interesa i sprawy publiczne. Wspaniałe bydowle i świątynie otaczały dokoła rynek, jak świadczą dziś jeszcze pozostałe pomniki. Na Kapitolu stała świątynia pogańskiego bożka Jowisza i zamek, za nim skała tarpejska z której rzucano skazanych na śmierć zdrajców ojczyzny.

W tej części leżą też najwspanialsze pomniki starożytnego Rzymu, świadki jego panowania nad światem, jak: łuki tryumfalne, Colosseum, cyrki itd. Z innych wymienić należy: kolumnę Trajana i Antonina, łaźnie Karakali, obeliski i słupy, grobowiec Metelli, wreszcie wodociągi i ulice sztucznie zbudowane.

Do poprzednich siedmiu wzgórz przybyły później jeszcze trzy: Pincius z lewej, a Janiculus i Vaticanus z prawej strony Tybru. Na wzgórzu watykańskiem powstało główne ognisko Rzymu chrześcijańskiego: wznosi się tam wspaniały kościół św. Piotra, jakiemu równego niema na świecie i pałac Ojca świętego, olbrzymia budowla, mająca 11 tysięcy pokoji i 22 podwórza, w której prócz rezydencji papieża, urzędów i archiwum znajdują się zbiory sztuki, tak zwany Belweder, mieszczący dzieła największych mistrzów starożytnych i nowoczesnych.

Chcąc choć w części uzmysłowić pojęcie o piękności Rzymu, podajemy na powyższym obrazku widok tego starego miasta, jak on się przedstawia oczom widza z kopuły św. Piotra, stojącego na wzgórzu watykańskiem. Już na tej skromnej podobiźnie widzimy cudowne budowle, które przykuwają oko patrzącego i czynią na nim niezatarte wrażenie.

Prócz kościoła watykańskiego jest jeszcze bardzo wiele innych kościołów w Rzymie, jak: św. Jana, św. Piotra w okowach, Lateran, Panteon z pogańskiej świątyni przerobiony, Najświętszej Marji Panny itd. Razem jest ich 353.

Zamek Anioła, połączony z Watykanem, dawny grobowiec cesarza Hadrjana, stoi tuż nad prawym brzegiem Tybru, między polem Marsowem a górą Pincio i Kwirynałem, na którym jest od roku 1870 pałac króla włoskiego.

Rzym nowożytny posiada uniwersytet, bibljoteki liczne i wspaniałe pałace i teatry a przemysł i handel jego rozwija się pomyślnie.

Rzym i cały półwysep Apeniński zamieszkują Włosi, potomkowie dawnych Rzymian, naród, z pośród którego wyszło tylu wielkich artystów i uczonych.

Włochy po upadku państwa rzymskiego były rozbite na drobne państewka, aż dopiero w roku 1861, Wiktor Emanuel, król Sardynji i Piemontu połączył je w jedno państwo, należące dziś do najpotężniejszych w Europie. Zawdzięczają one swoją obecną potęgę przewódcy narodu włoskiego Mussoliniemu, który, pozostawiwszy wprawdzie króla na tronie, całą władzę ujął w dyktatorskie ręce i czyni to, co sam uważa za stosowne.



Kaśka Myrdalonka gada:

Z chłopami to nijak pokurać nie mozna. Chces ty tak, to on inacy, chces ty inacy, to jemu się zabazy tak. I tak ciągiem. Uśmichnies się do niego po katolicku, to on zaraz ci odwyrknie: „Cemu bestyjo zęby scyrzys, jak makolągwa!“ Nie uśmiejes się do niego, to ci zaraz wyrknie: „Cemuś małpo spuściła trąbę, jak pies ogon!“ Zagadas do jakiego źgaca, który ci pod nogi podlizie, to ten niby twój, so się ku sobie macie, zaraz na ciebie z jadacką wsiędzie, ze ty la wszyćkich jednako jęzorem obracas. Nie będzies z insemi gadała, ino z twojem, to ten twój zjeździ cię za to, ze w usach ciągiem dziurę wiercis. Próbuj z chłopem na wszyćkie boki, to jemu przeciez zawse będzie źle.

A nie mówię tego na wiatr, ino na prawdziwą prawdę, i nie mówię o nikim innym ino o Maćku, boć przecie wiadomo, ze jaki jeden Maciek, takie wszyćkie Maćki. Ot i w zesłą niedzielę mój Maciek wlaz na mnie z gębą za to, ze mi jakiś druzba z Płazy przysyłał na wianek złotego. Wścik się Maciek o to i pada: Po jaką ci cholerę wianek! Jageś go miała, to ci nie zawadzał i dotąd wyćciwiałaś, jaz ci przepadł na amen, a teraz zachciwa ci się śtucnego i złotebyś zbierała! Dawaj no, dawaj, co ci poćciarz przyniósł, bo juz ja będę lepiej wiedział, co z piniądzmi zrobić!

I choć przemaglowałam go maglownicą po łbie śtyry razy, to nijak go przekonać nie mogłam, póki sam Maciek poćciwina nie dostał na golarza od jednej dzieuchy ze Scakowy dwa złote. Wtedy dopiro zmięk i pada: Wis Kaśka, jak ma być sprawiedliwie, to niech będzie sprawiedliwie! Jak ty co dostanies na swój zachlastany wianek, to się dzielwa oboje na pół, a jak ja co dostanę, to i tobie moze kiedy co z tego obiecam!

W pirsy chwili ta jego wielga miłość ku mnie bardzo mi się uwidziała i juz miałam ze smatki złotego wyciągnąć i ućciwie się niem z Maćkiem podzielić. Podobał mi się taki interes tembardziej, ze wiem, iz chłopy są la siebie solidarniejsi i Maciek więcej będzie mógł, cy to na golarza, cy na capkę, cy na portcęta zebrać, anizeli ja na swoją cnotę, która, co zreśtą wszyćkiem we wsi wiadomo, ani jednego grosa nie warta. Ale gdym miała juz, juz... to mi się przypomniało, ze Maciek całkiem nie mówił o dzieleniu się swojemi dochodami, ino o obiecaniu. A wiadomo, co to są te obiecywania, i jakby nie one, toby o połowę było ludzi mniej na świecie. Schowałam przeto swojego złotego do siódmej spodnicy i będę widzieć, kto z nas lepiej na tem wyjdzie. Widzi mi się, ze ja, bo jak chłopy ze sobą trzymają, to i my dzieuchy się nie damy, bo wy wszyćkie, jak jedna, będziecie złociaki przysyłać, a ja jedna od wszyćkich będę brała i chowała. A ze nas jest pono siedem razy tyle co chłopów, więc na kazdego złociaka dostanego przez Maćka, ja ich będę miała siedem. I ciekawam, kto na tem lepiej wyjdzie?

A zreśtą ja nie organista, to nie przebieram! Będzie złoty, to schowam złotego, a nie będzie złotego, ino grose, to schowam i grose, bo na chowanie, to wszyćko jedno, co ta jest, byle ino było. A i Maciek tez nie nazbira miljonów, bo po pirse jesce „Rola“ ni ma miljona cytelników, a po drugie przecie nie kuzden będzie przysyłał takiemu kołtunowi, jak Maciek. Jestem nawet pewna, ze niejeden źgac, któremu na mojem wianku zalezy, nie Maćkowi, ale mnie hopy nadeśle. A przecie wiadomo, ze są jesce na świecie ludzie ućciwi, którzy na niewinność kobiecą okropnie uwazają.



Modlitwa za Polskę.

Boże daj Polsce zawsze jasną dolę,
Pomnażaj sławę, szczęście i dostatek.
Błogosław słońcem i Swą rosą rolę,
I prace ojców i boleści matek.
Przed Twe ołtarze wznosim kornie dłonie,
Niech wiara, miłość w naszych sercach płonie,
Niech nas od złego na zawsze zachowa
Polska Królowa, Polska Królowa!

Boże daj Polsce dostatku wszelkiego,
A naszą wolę nagnij ku swej woli,
Wojsku daj męstwo Jana Sobieskiego.
Choć naród polski od ducha niewoli,
Przed Twe ołtarze chylim kornie czoła,
Niech Twoją wolę naród spełnić zdoła,
Niech nas od złego w tem życiu zachowa
Polska Królowa. Polska Królowa!

Boże, daj Polsce wciąż niezłomną wiarę,
Wojsko waleczne, sprawiedliwe sądy —
Przyjm każdą od nas serdeczną ofiarę,
Odrzucaj od nas hen szatańskie prądy.
Przed Twe ołtarze wiedzie nas otucha,
Wspieraj nas, Panie, światłem Swego Ducha,
W serca wlej miłość, mądrość w każde słowo,
Polska Królowo, Polska Królowo!

Boże daj Polsce słoneczną pogodę,
Niech burze, gromy, omijają wioski,
We wszystkie serca zaszczep świętą zgodę,
Błogosław w pracy i ostudzaj troski.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie,
Niech cała Polska wierną Ci zostanie,
Przemów, błagamy, za swym ludem słowo,
Polska Królowo, Polska Królowo!

My przysięgamy przed Twoim obliczem,
Że będziem Bogu zawsze służyć stale,
Że będziem serca karmić świętem Zniczem,
A wrogom stawać do czoła zuchwale.
Przed twe ołtarze zanosim prośby swoje,
O Królu Chryste, przyjdź królestwo Twoje,
Niech Polska szatę znów przywdzieje nową
Polska Królowo, Polska Królowo!

Józef Kapuściński.

Prawdziwe szczęście.

Zdarzenie prawdziwe.

Gdy człowiekowi szczęście sprzyja, gdy wszystkie jego zamierzenia spełniają się niemal momentalnie, wówczas nie myśli on o przyszłości, nie zastanawia się, co dalej będzie, ale żyje tylko teraźniejszością i chwyta uciechy dnia dzisiejszego, nie patrząc, co będzie jutro. Dopiero, gdy grom uderzy jeden i drugi, czarna rozpacz obejmuje takiego i spacza nieraz jego życie bezpowrotnie.

Tak było z Szymonem Dudą. Ożenił się młodo, z dziewcsyną zamożną, a małżeństwo to pobłogosławił Pan Bóg czworgiem dziatek. Dudowie żyli szczęśliwie, przysparzając zapobiegliwą pracą jeszcze więcej majątku, szanowani przez sąsiadów. Czy to chrzciny, czy wesele, nigdy tam Dudów nie brakło, gdyż prosili ich wszyscy, albowiem było wiadomem, że Dudowie nigdy w takich razach nie przychodzili z próżnymi rękami.

Lecz nic niema trwałego na świecie. I szczęście człowieka, choćby ono było największe, kiedyś przeminąć może, aby już nigdy nie powrócić. Niestety zapominają o tem nieraz ludzie i gdy to szczęście z czasem uleci, brak jego daje się jeszcze bardziej odczuwać, jak gdyby go nigdy przedtem nie było. Zapomnieli o tej prawdzie Dudowie i dlatego też dalsze wypadki, jakie wypełniły ich życie, niemal nie doprowadziły ich do zatracenia. Mając dostatki i pozorną szczęśliwość, zapomnieli o tem, co w życiu człowieka powinno być najważniejsze: zapomnieli o Bogu.

Wprawdzie nie czynili nic coby im można było zarzucić jako rzecz niehonorową. Nie kradli, nie obmawiali, nie byli pijakami, w życiu małżeńskiem nikt nic niewłaściwego nie mógł im zarzucić, ale i to było wszystko. Bo choć dla oka ludzkiego chodzili do kościoła, to będąc w nim, byli tam tylko obecni ciałem, a dueh ich był przy uciechach i dostatkach, jakich im w życiu nigdy nie brakowało.

Ludzie zazdrościli im szczęścia i oni sami czuli się szczęśliwi i w przekonaniu tem żyli lat kilkanaście.

Dopiero, gdy dzieci, dwóch synów i dwie córki, podrastały, przekonali się, że to szczęście ich było zwodnicze. Dzieci, wychowane bez głębokiej religijności, poczęły powoli, jak to mówią, schodzić na psy. Najstarsza córka dała się zbałamucić jakiemuś panicykowi z pobliskiego miasta tak, że nawet palcami ją wytykano i nie mogła się we wsi pokazać. Druga nie była lepszą. Wyszła wprawdzie za mąż za jakiegoś pijaczynę i sama się rozpiła, kończąc swoje życie tragiczną śmiercią w nurtach rzeki płynącej wśród rodzinnej wsi. Wpadła do wody, wracając po pijanemu z karczmy do domu.

Nie lepszy los spotkał i synów. Ci, lubiąc zabawy i pijatyki, a nie mając grosza, którego im ojciec nie dawał, poczęli próbować żyć z własnego przemysłu, kradnąc, co i gdzie się dało. Młodszy z nich za zabójstwo został skazany na długoletnie więzienie, starszy poszedł jeszcze dalej, gdyż dopuścił się morderstwa, za które został śmiercią ukarany.

Matka tych nieszczęśliwych dzieci, a żona Szymona tak przejęła się temi wypadkami, że w sile wieku przeniosła się na mogiłki, Szymon zaś pozostał sam jeden jak palec opuszczony przez własną rodzinę, zapomniany przez sąsiadów. Ale i w takiem strasznem położeniu nie zwrócił się tam, skąd mógł się prawdziwego ratunku spodziewać, to jest do Boga, ale zaczął przemyśliwać, jakby te swoje cierpienia skrócić, coby uczynić, aby więcej ludzie na niego z politowaniem nie spoglądali.

Myślał długo i wzdragał się przed wykonaniem tego, co wymyślił. Ale przyszedł wreszcie czas, że myśl ta utrwaliła się w nim i była bliską wykonania. Postanowił powiesić się. Gdy raz powziął takie postanowienie, z wykonaniem go nie zwlóczył długo. Wziął silny powróz, udał się do pobliskiego gaju, zarzucił pętlę na gałąź i już miał głowę kłaść w zwoje twardego sznura, gdy na jego szczęście, niewiadomo skąd, zjawił się miejscowy ksiądz proboszcz. Spostrzegł go przed dokonaniem samobójczego czynu zawstydzony Szymon. Udał, że chce nałamać gałęzi i przywitał się z księdzem. Ksiądz jednak domyślił się zamiarów Szymona i delikatnie nakłonił go do powrotu do domu.



Gdy się znaleźli w izdebce Szymona, Duda siadł ciężko na stojącem pośrodku krześle, a łzy rzęsiste spłynęły z jego oczu. Ksiądz nic bawił się w długie morały, wskazał jedynie na obraz Najświętszej Marji Panny i przemówił łagodnie:

— Pomyślcie Szymonie co chcieliście uczynić. Oto do tylu nieszczęść, jakie was spotkały, zamierzaliście dorzucić jeszcze jedno, i to największe, powierzając swą duszę dobrowolnie na całą wieczność piekłu i szatanowi. A przecież ratunek taki łatwy! Nie masz bowiem tak ciężkiego położenia, z któregoby Pan nie potrafił człowieka wyprowadzić. Trzeba się tylko do Niego zwrócić i Jemu zaufać.

Na żyzną glebę padły słowa kapłana. Szymon nie myślał więcej o samobójstwie, ale z całą ufnością zwrócił się do Pana nad Pany i choć dotknęło go tyle ciosów, dopiero wówczas czul się szczęśliwy.

Powiada przysłowie: »Dobry przykład cuda działa!« Tak było i w tym wypadku. Córka Szymona, widząc jego pobożne i cnotliwe życie, zawróciła z drogi zepsucia, po kilkuletniej nieobecności przybyła do domu i pomagała mu w jego ciężkiej pracy. a nawet syn zabójca, gdy odpokutował karę, stał się innym człowiekiem.

Wśród puszcz i stepów.

(Ciąg dalszy).

18. Bez drogi.

Dnia następnego dwaj przyjaciele o świcie wyruszyli w dalszą drogę. Drzewa i krzaki zupełnie były już znikły im z oczu, gdy około południa ujrzeli przed sobą niezmierzoną, płaską równinę, na której jednak rozsypane były małe pogórki, w regularnych odstępach od siebie leżące.

— Jakże to dziwnie wygląda! — zawołał Dik. — Patrz, Cezarze, możnaby sądzić, że te wzgórki sztucznie są usypane.

— Bo też tak jest rzeczywiście — odpowiedział Cezar — widzimy tu wioskę piesków łąkowych. Małe te zwierzątka, do rodziny wiewiórkowatych należące, mają głos podobny nieco do szczekania psa, skąd nazwa ich pochodzi.

Niemały to był kłopot dla naszych wędrowców, że tu na stepie, całkowicie drzew pozbawionym, nie mogli stawiać drogowskazów, jak mówił Cezar, i zapewnić sobie sposobu odszukania powrotnej drogi, a na tych obszarach niezmierzonych, jednostajnie pokrytych trawą, najdoświadczeńszy wędrowiec łatwo zabłądzić może. Ta myśl tak ich zaniepokoiła, że powtórnie naradzać się zaczęli, czy wędrować dalej, czy niezwłocznie powracać. I chociaż gorące pragnienia Dika dotychczas się nie spełniły, nie napotkali bowiem ani stada żubrów, ani dzikich koni, po głębszym namyśle stanęło na tem, aby powracać. Cezar miał nadzieję, że teraz jeszcze trafi z łatwością do swoich drogowskazów.

Niestety! nadzieja ta zawiodła go tym razem. Po całodziennej wędrówce chłopcy nasi ujrzeli się w okolicy całkiem nieznanej, niepodobnej do tych wszystkich, które przebywali dotąd. Przed nimi ciągnęły się wzgórza wyniosłe, poprzerzynane głębokimi wąwozami; tak jak i wszędzie i tu jednak brakło zupełnie drzew i krzewów, przed oczyma rozciągały się przestrzenie porośnięte tylko trawą stepową. Znużeni drogą i upałem wędrowcy nasi dotkliwie uczuwać zaczęli brak wody, a pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nigdzie nie mogli odkryć żadnego jej śladu. Już mrok rozpostarł się nad ziemią, gdy spragnieni chłopcy, ku swej wielkiej radości ujrzeli na kamiennej wyżynce kilka krzaków melonów. Cezar znał dobrze duże kuliste ich owoce, wypełnione wodnistym sokiem, które często w okolicach pozbawionych wody prawdziwem są dobrodziejstwem dla zabłąkanych wędrowców. Dwaj chłopcy ściąwszy kilka tych owoców, ugasili ich sokiem palące pragnienie, musieli jednak pójść spać bez wieczerzy, gdyż tego dnia nic nie upolowali, oprócz pieska łąkowego.

Dnia następnego o świcie ruszyli w dalszą drogę, — a smutna to była wędrówka bez celu, bo już nie mogli wątpić, że zabłądzili w pustyni. Około dziesiątej rano, gdy upał się wzmagał i nogi ustawać im poczynały, z radością spostrzegli w oddaleniu gromadkę drzew. Spodziewali się napotkać tam także i wodę, co też się i spełniło; doszedłszy do owej kępy pięknych orzechów „hickory", ujrzeli małe, lecz czystą i świeżą wodą tryskające źródełko. Zaspokoiwszy pragnienie, wędrowcy nasi postanowili resztę dnia i noc spędzić w tem pięknem ustroniu.

— Napiliśmy się wybornej wody — rzekł Cezar — teraz idzie o to, aby głód zaspokoić; może w tym gaiku i na to znajdzie się rada. Pewny jestem, że niejedno zwierzę stepowe przychodzi pić wodę u tego źródełka.

Tymczasem obaj rozciągnęli się wygodnie na trawie i wypoczywali w cieniu. Zaledwie jednak chwilkę poleżeli, gdy znów zerwali się na równe nogi. Z wielkiego odalenia dało się słyszeć poszczekiwanie i wycie licznych zwierząt; stawało się coraz wyraźniejsze, widocznie zwierzęta zbliżały się w tę stronę.

— To wilki stepowe — wyjaśnił Cezar — co im się stać mogło? To żarłoki wiecznie zgłodniałe muszą gonić jakieś zwierzę, prawdopodobnie zranionego żubra. Bardzo być może, że nam tu zdobycz napędzą, bo zmierzają w tę stronę; ukryjmy się teraz na drzewach, ażeby ich nie spłoszyć.

Obaj chłopcy wdrapali się na drzewo i starannie ukryli pośród liściastych gałęzi.

— Patrz, patrz, co tam może być za zwierzę? — wołał już po chwili Dik, wyciągając rękę w stronę, z której coraz to głośniej ujadanie wilków się odzywało.

— Mów ciszej — odrzekł Cezar — to antylopa, błędne stworzenie musi być chore albo ranione, ledwo nogami włóczy.

Antylopa zbliżała się coraz więcej. Zgłodniali nasi wędrowcy z wielkiem zajęciem śledzili ruchy uciekającej antylopy; zwracała się wyraźnie w stronę źródełka, a zgraja wilków prawie następowała jej na pięty.

— Już ją mam — szepnął Cezar; wypalił, antylopa padła martwa pod samem prawie drzewem. Wilki zatrzymały się zdziwione, a po chwili uciekać zaczęły.

Młodzi myśliwcy spuścili się z drzewa, i przywołali psa, który zresztą jednak nie okazywał najmniejszej ochoty zadzierania z wilkami i na krok nie odstępował Dika. Trzeba było jak najprędzej zabezpieczyć mięso antylopy od nowego napadu, gdyż wilki widocznie czekały tylko na sposobność po temu. Zaledwie się z tą robotą załatwili, gdy Cezar znów bystrem uchem dosłyszał jakieś oddalone odgłosy i śpiesznie się położył, przykładając ucho do ziemi. Gdy powstał, twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie.

— Doczekaliśmy się nakoniec! — mówił z uśmiechem. — Stado bawołów się zbliża! A jak się w porę wybrały! Niemałe to dla nas szczęście, że możemy schronić się na drzewa, inaczej, kto wie, czy nie rozdeptałyby nas, jak muchy.

Cezar z szybkością strzały poskoczył na drzewo, dając towarzyszowi ręką znak, aby pozostał na dole; poczem w mgnieniu oka prawie spuścił się z takąż samą szybkością, wołając z przerażeniem:

— O Boże! pożar na stepie! Ogromne płomienie unoszą się wszędzie w górę, straszliwe obłoki dymu pędzą prosto w tę stronę. Żubry uciekają przed pożarem. Diku, rozpalajmy ogień jak najprędzej, od tego pośpiechu życie nasze zależy!

I murzyn rzucił się, jak szalony, do zbierania suchych gałęzi; wyrywał pęki trawy, zapalał to wszystko i rozkładał naokoło kępy drzew, tworząc krąg obszerny, który w parę chwil żywym ogniem zapłonął. Tym sposobem dokoła drzew utworzył się teraz krąg, na którym trawa całkowicie była wypalona; od ziemi nagiej i ogołoconej z roślinności buchało wprawdzie straszliwe gorąco, lecz płomienie znikły; nawet dym już się nie unosił nad tym pasem. Dik zrozumiał, o co murzynowi chodzi: pożar nie mógł objąć tego miej-

sca, gdzie całkowicie brakło materjału do podsycenia ognia, — był to niejako pas ochronny.

— Na drzewo, czemprędzej na drzewo! Żubry! — wykrzyknął nagle murzyn i ciągnąc towarzysza za sobą, śpiesznie wdrapał się na jedno z największych drzew. Psa pozostawić musieli własnemu przemysłowi; roztropne zwierzę jak gdyby pojęło położenie, położyło się u stóp potężnego pnia i leżało tam spokojnie.

Tymczasem coraz bliżej dawał się słyszeć tentent, do gromu podobny i ziemia poczęła drżeć pod kopytami biegnących szalonym pędem żubrów. Już można było dojrzeć w oddaleniu przednie straże stada. Ogień, rozpalony przez młodych wędrowców, płonął ciągle; wiatr pędził go coraz dalej i żubry ujrzały niespodzianie na swej drodze drugi pożar. Wzięte tym sposobem we dwa ognie, zawahały się przez chwilę; potem stado rozdzieliło się; jedna połowa zwróciła się na prawo, druga na lewo, omijając koło ogniste. Łeb przy łbie, w ścieśnionych szeregach, z podniesionymi w górę ogonami, żubry przeleciały jak huragan po obu stronach kępy drzew. Niejeden padł po drodze i nie podniósł się więcej, bo reszta przebiegła po nim i zdeptała go kopytami. Stado było tak liczne, że z kwadrans tak płynęło, jak rzeka; wreszcie zaczęło się przerzedzać, lecz jeszcze przez czas jakiś przebiegały pojedyńczo zapóźnione słabsze zwierzęta. Jedno z takich zbliżyło się na odległość strzału do kryjówki naszych wędrowców .

— Będziemy mieli znowu zapas mięsa — rzekł Cezar i celnym strzałem powalił na miejscu żubra, który i tak już wyglądał bardzo osłabiony...

Zaledwie stado żubrów znikło z oczu młodzieńców, gdy otoczyły ich tak gęste obłoki dymu, że z trudnością oddychać mogli. Obraz, który mieli przed oczyma, posiadał taką niedającą się opisać grozę, iż wędrowcy nasi, jakkolwiek zupełnie bezpieczni w swojem schronieniu, nie mogli pokonać uczucia przerażenia i trwogi. Zamęt ten nie trwał jednak długo; wkrótce po upływie pół godziny wszystko się uciszyło i w powietrzu powiało tchnienie orzeźwiającego wietrzyka.

Młodzi nasi wędrowcy starali się skrócić sobie czas rozmową, gdyż jeszcze nie mieli odwagi wychylić się ze swego schronienia. Po upływie godziny jednak mogli już bezpiecznie dostać się do żubra zabitego przez Cezara; był to zwierz olbrzymi i musiał mieć siłę niepospolitą, to też dziwnem się wydało murzynowi, że pozostał w tyle za stadem. Zdejmując z niego skórę, myśliwcy spostrzegli pod łopatką żubra ranę głęboką, wyraźnie pochodzącą od kuli, — a nie była to kula Cezara, bo ta trafiła prosto w oko i przebiła czaszkę.

— Toż samo, co z antylopą — rzekł murzyn — mamy nowy dowód obecności ludzi w tej okolicy. Jeżeli to ludzie biali, dałby Bóg, abyśmy się z nimi spotkali, — jeżeli czerwone skóry, niech nas Opatrzność od tego uchowa. Prawdopodobnie jednak muszą to być biali myśliwcy, gdyż Indjanie zazwyczaj do polowani aużywają łuków. Sądzę więc, że powinniśmy teraz skierować się w stronę, skąd nadbiegła antylopa i stado żubrów i gdzie wybuchł ten wielki pożar.

Dnia następnego o świcie, wędrowcy nasi wyruszyli w drogę, kierując się na wschód, z tej strony bowiem dnia poprzedniego nadciągnęła zgraja wilków, goniących antylopę i stado żubrów. Step przedstawiał smutny widok zniszczenia i opustoszenia: ziemia była całkowicie ogołocona z trawy, czarna, okopcona, znikło z niej wszelkie życie i tylko szelest kroków samotnych wędrowców przyrywał głuchą ciszę, panującą nad gwarnym niedawno stepem.

Okazało się wkrótce, że na tej niezmierzonej, jednostajnie przestrzeni, niepodobna było trzymać się jakiegoś wytkniętego kierunku; daremnie bowiem wzrok znużony szukał oparcia, nigdzie, aż do najdalszych krańców widnokręgu, nie napotykał przed sobą ani drzewka, ani krzaczka. Cezar musiał wyznać, że cały jego dowcip na nic się tu przydać nie mógł, i że jeśliby im się udało dotrzeć przynajmniej do lasu, graniczącego ze stepem, przypadkowi jedynie zawdzięczać by to mogli .Na domiar nieszczęścia dostali się teraz do okolicy całkowicie pozbawionej wody. Zbliżała się już znowu południowa godzina; pragnienie dokuczało im strasznie, a nigdzie zbawczego źródełka dopatrzeć nie mogli. Dik, mniej wytrzymały od towarzysza, tak był osłabiony, że ledwie na nogach się trzymał.

Usiedli więc na wypoczynek u stóp skały. Odkrywał się stąd widok rozległy, który jednak bynajmniej nie dodał murzynowi otuchy: gdzie okiem zajrzeć, wszędzie rozciągała się taż sama płaska, jednostajna równina, stykająca się z niebem na krańcach widnokręgu, — gdzieniegdzie tylko odrzynała się od monotonnej, płaskiej powierzchni stepu sterczącą skała, pagórek lub krzak kolczasty. Wszędzie, daleko dokoła, step przedstawiał ów obraz spustoszenia, który wędrowcy od rana mieli przed oczyma, — pożar ogarnął widocznie obszary bardzo rozległe.

Z ciężkiem westchnieniem powrócił Cezar do towarzysza; patrzeć musiał na jego cierpienia, a nic mu poradzić nie mógł. Po kilkogodzinnym wypoczynku puścili się obaj w dalszą drogę, lecz postępowali bardzo wolno; nogi pod nimi się chwiały i coraz więcej upadali na siłach. Sułtan z wywieszonym językiem wlókł się za panami, wyjąc żałośnie od czasu do czasu.

— Nie, ja już dalej iść nie mogę — jęknął Dik po trzech czy czterech godzinach uciążliwego pochodu. Już też i słońce zniżało się ku zachodowi.

Tym razem musieli nocować na otwartem polu i pod gołem niebem, gdyż nawet skały nigdzie nie było dokoła. Po dniu upalnym nastąpiła, na szczęście, noc dosyć chłodna: spadła rosa tak obfita, że przemoczyła zupełnie odzienie wędrowców, co im przyniosło niejaką ulgę; usnęli spokojnie i pokrzepieni zbudzili się o świcie. Lecz gdy tylko słońce wzniosło się wyżej na niebie, upał znowu dokuczać im zaczął; stopniowo pragnienie tak im się dało w znaki, że chociaż mieli zapas mięsa, nie byli w stanie go przełknąć. Nawet Sułtan odwrócił łeb ze wstrętem, gdy mu podano tak pożądany zazwyczaj przysmak. Biedne psisko wyło prawie bezustannie i żałośnie spoglądało na panów, jakby błagając ich o ratunek.

Nieszczęśliwi wędrowcy wyruszyli w końcu w dalszą drogę, dobywając ostatnich sił, w nadziei, że może nareszcie natrafią na zbawcze źródełko. I w rzeczy samej po upływie dwóch godzin, w ciągu których przeszli niewielki kawał drogi, z niewymowną radością spostrzegli przed sobą w oddaleniu gromadkę drzew. Przyśpieszyli kroku, tak jednak byli już osłabieni, iż upłynęło znów kilka godzin, nim się do tych drzew dowlekli; były to orzechy stepowe. Już z daleka u stóp ich spostrzegli wyraźne zagłębienia gruntu, prawie pewni więc byli, że w nich wodę zastaną; to też łatwo sobie wyobrazić rozpacz, jaka ich ogarnęła, gdy przyszedłszy na miejsce, ujrzeli się w tej nadziei zawiedzeni. Owe zagłębienia gruntu były tak zwanemi „sadzawkami żubrów“. Nazwa owa stąd pochodzi, iż zwierzęta zazwyczaj kąpią się w kałużach,

powstałych z deszczowej wody, a i te początek swój także zawdzięczają żubrom, które zwykle, gdy im owady zbytecznie dokuczają, tarzają się po ziemi i to w taki sposób, że na jednem miejscu się kręcą, dopóki nie utworzą w ziemi wklęsłości; w czasie pierwszego deszczu woda do niej spływa i sadzawka coraz więcej się pogłębia. Na nieszczęście susza trwała już od dłuższego czasu i znajomi nasi nie znaleźli w sadzawkach owych ani kropelki wody. Cezar spojrzał w niebo, lecz i na niem nie dostrzegł ani jednej chmurki; palące promienie słońca padały prostopadle na step niezmierzony.

— Nie pójdę dalej; sił mi już braknie, umrę już tutaj, jeżeli taka wola Boża — jęknął Dik i osunął się na ziemię pod drzewem.

— Nie można jeszcze rozpaczać — mówił murzyn, chociaż i w jego sercu mało już pozostawało nadziei — w oddaleniu widać inne drzewa, może tam wodę znajdziemy.

— Ja już tam nie zajdę — odrzekł Dik, rozciągając się na trawie — nie ruszę się stąd; wolę umrzeć, niż znosić dłużej takie okropne męczarnie.

— Bóg miłosierny może w ostatniej chwili ratunek zesłać — pocieszał murzyn — niechże Dik tu zostanie z Sułtanem, a ja sam do tamtych drzew pójdę. Jeśli wody nie znajdę, będę miał zawsze dość siły, aby się tu dowlec napowrót, a wtedy niech się spełni wola Boża nad nami. Tylko niech Dik stąd nie odchodzi i czeka na mnie; nie będę dłużej bawić nad parę godzin.

— Bądź spokojny — odrzekł tamten, siląc się na uśmiech — ja się stąd pewnie nie ruszę, choćbym chciał nawet. Nie powrócisz ty jednak tak prędko, jak ci się zdaje, te drzewa mogą być bardzo oddalone; tu na tych stepach wszystko się zdaje bliskiem, ale to tylko złudzenie wzroku.

— Odwagi i cierpliwości — rzekł raz jeszcze murzyn i uścisnąwszy serdecznie dłoń przyjaciela, wyruszył tak śpiesznie, jak tylko mu na to pozwalało wielkie jego osłabienie.

Po odejściu murzyna Dik uczuł dziwny zawrót głowy; oczy przymknęły mu się mimowoli i przytomność prawie zupełnie go opuściła. Sam już nie wiedział, jak długo pozostawał w tym stanie, gdy nagle ocuciło go głośne szczekanie Sułtana. Siłą woli podniósł głowę, wsparł się na łokciu i szeroko oczy otworzył: ujrzał bowiem kilku jeźdźców, zbliżających się do miejsca, gdzie leżał. Jeszcze nie mógł rozpoznać ich postaci i ogarnęła go trwoga straszliwa, czy to nie Indjanie; niedługo jednak pozostawał w niepewności. Jeźdźcy podjechali bliżej: byli to biali ludzie w strojach myśliwskich, uzbrojeni od stóp do głowy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pani Z. K.

Wiosna.

Znowu wiosna... wiosna... wiosna...
I znów kwiaty, ruń dokoła
Jak wzorzyste jakieś krosna
Rozciągnęła dłoń anioła...

Znowu ptaszę, piosnka, rola —
I srebrzysta mgła z nad pola
I błękitów twarz radosna —

I znów wiosna... wiosna... wiosna...

W. Hlouszek.



Poradnik gospodarczy.

Pszczelarze rozpoczynają nowy rok w maju. Wszelkie zapiski i notatki powinny być tak prowadzone, by tworzyły okresy roczne od maja do kwietnia. W tym miesiącu wszystkie pnie bez matki, zaperzone i wogóle słabe powinny być usunięte z pasieki. Gniazda zabezpieczone od zimna matami należy jeszcze tak zostawić, mimo, iż oczko otwieramy coraz więcej. Mogą być jeszcze dnie zimne, któreby bardzo pszczołom zaszkodziły. Z ciepłem pszczółki dadzą sobie radę. Nie należy więc lekkomyślnie pni oziębiać. Uli nie trzeba otwierać na długo, gdyż pełno w nich czerwiu. Z dodawaniem nowych ramek nie bardzo się spieszyć, dopiero, gdy pszczoły obsiadły na czarno ostatnią ramkę, dawać nową, ale nie wcześniej. Gdy przy końcu maja nastąpią dnie zupełnie ciepłe, może sobie pasiecznik pozwolić na zdjęcie zimowego opakowania z ula, ale czynić to powoli, z rozmysłem, aby pszczółki od zimna nie ucierpiały.

W maju powinien pszczelarz dobrze obserwować pnie swoje, a przekona się, iż nie wszystkie będą miały jednakie zalety i wady, ale każdy odznaczać się będzie indywidualnemi cechami. Są pnie, które normalnie się rozwijają, posiadając dobre i płodne matki. Inne rozwijają się powoli, ale są pełne miodu, inne znów mają dużo pszczół, ale miodu ani na lekarstwo.

Utrzymanie czystości musi być wzorowe i przynajmniej raz na tydzień trzeba podmieść pień, gdyż śmieci gromadzi się dużo, pszczoły czyszczą stare plastry, doprowadzając naczyńka na miód i kolebki dla nowych pokoleń do idealnej czystości.

Gdy nastaną już dni zupełnie ciepłe, można dawać po jednym plastrze węzy, lub ramki z początkami, ale czynić to bardzo ostrożnie i nie więcej jak jedną ramkę, a gdy wykończą, dopiero dawać drugą.

Teraz jest również czas odpowiedni do wszelkich większych manipulacyj w ulach, jak do przenoszenia pszczół z kłód do pni ramkowych.

Jeżeli przeprowadzono ścisłe badania co do pożytku, to na sześć tygodni przed pożytkiem rozpocząć trzeba podkarmianie spekulatywne, aby pnie na czas przyszły do ogromnej siły.

Rozrost pnia zależy od dobroci matki; aby matki dobrze czerwiły, muszą być rasowe, młode i dobrze odżywiane. U nas przechowała się wcale dobrze rasa krajowa pszczół. Małe „borówki“ są u nas już bardzo rzadkie. Jest to odmiana bardzo miodna i godna polecenia. Rasa krajowa zmieszana z kraińską jest bardzo rojną, ale nie miodną.

Największą płodnością odznaczają się matki w drugim roku życia. Każdy pasiecznik powinien ściśle prowadzić metryki matek. Powinna to być mała notatka przy zatworze ula, a jest potrzebna przy zmianie matki, która wskutek starości może się okazać zupełnie wyczerpana. Starszych nad dwa lata matek w dobrze prowadzonej pasiece być nie powinno.

Obecnie rozpowszechnia się u nas rasa włoska, która dotychczas ma duże zalety. Matki tej rasy sprowadzają pszczelarze przez p. Webera ze Lwowa

wprost z Włoch od p. Piany z Bologne. U nas w sprawie hodowli matek na większą skalę czyni się dopiero dobre usiłowania, ale te zaspakajają tylko częściowo potrzeby pszczelarzy.

Do redakcji naszego pisma zgłaszają się pszczelarze oferując matki tegoroczne, zapłodnione, rasy krajowej w cenie 3 zł. 50 gr. z dostawą w czerwcu, lipcu lub sierpniu — z gwarancją, iż pasieka ich wolna od wszelkich chorób.

Obecnie należy czynić ostatnie przygotowania na przyjęcie rojów, gdyż w dobrze prowadzonej pasiece rój majowy, to nie nowina, a stare przysłowie pszczelarskie mówi, iż „rój majowy, furę siana wart". Rój majowy należy obsadzać na starych plastrach, nie zapomnieć o dodaniu ramki czerwiu i miodu, gdyż do akacyj jeszcze daleko, a pożytek wiosenny przy końcu maja się wyczerpuje. W razie niepogody rój bez zapasów padłby z głodu.

Nie powinno się niszczyć z całą zawziętością roboty trutowej, gdyż w pniach, gdzie brak trutów, często brak i miodu. Przy czyszczeniu pni trzeba dobrze wyskrobywać kąty, niszcząc wszelkie zarodki motylicy, nie pozwalać usadawiać się mrówkom w ulach, niszcząc je przez obsypywanie kołków, na których wsparty jest ul, drobnym piaskiem, zmieszanym z popiołem. Omiatać należy ule z pajęczyny i uważać, by przed ulami nie przesiadywały ropuchy.

Dziełko o budownictwie wiejskiem.

Zagranica posiada już oddawna bardzo bogate piśmiennictwo poświęcone specjalnie budownictwu wiejskiemu. U nas w Polsce tego rodzaju prace są mało jeszcze uwzględniane, ku wielkiej szkodzie całego państwa, a przedewszystkiem mieszkańców wsi, którzy nie posiadają praktycznych podręczników, ułatwiających im wznoszenie nowych budowli. Jest bowiem budowanie i budowanie.. Można budować i źle i dobrze. U nas zwykle buduje się źle, a przeważnie dlatego, że ludzie nie wiedzą jak budować dobrze. Oczywista trudno, aby każden wszystko wiedział. Ale od tego być powinny podręczniki, które dają praktyczne rady, różne pomysły, rozmaite przepisy, wypróbowane przez doświadczenie i oparte na znajomości rzeczy.

Taki właśnie podręcznik w postaci broszury daje nam p. Ig. Wróblewski — wytrawny znawca wszelkich sposobów budowania, a w dodatku bardzo ceniony artysta. Napisał niewielkie dziełko pod tytułem: „Modelowa Zagroda i Chata Włościańska" (można nabyć u Gebethnera). W tem dziełku, które ma 31 stronic, opisuje jak powinna wyglądać wzorowa zagroda włościańska i daje szereg praktycznych rad i wskazówek jak każda robota ma być wykonana: jak głęboki fundament, jak i kiedy futryny robione, jak legarki położone, jak piece ustawiane itd. Kilka rysunków i planików dołączonych do dziełka objaśniają różne sposoby praktyczne rozłożenia domu, stajni, obory. Podają też rozkład całych zagród, rozmaitej wielkości od najmniejszych do bardzo już obszernych — wedle tego, jaką kto ma kieszeń i kogo na co stać.

Dziełko p. Ig. Wróblewskiego bezwarunkowo należy uważać za pożyteczne do przeczytania i obejrzenia, bo dużo w niem nowych myśli i nowych pomysłów, które każdego myślącego gospodarza zastanowić muszą, a niejednokrotnie do czegoś pożytecznego zachęcić. Podziękować też potrzeba p. Ig. Wróblewskiemu, że swą pracą wzbogacił naszą ubożuchną literaturę budownictwa wiejskiego. *Amator.*

Wiadomości polityczne.

Włochy i Albanja. Włochy coraz lepiej starają się usadowić po drugim brzegu morza Adrjatyckiego, w Albanji. W tym celu zawarły specjalne przymierze z Albanją, a obydwa rządy wydały następujące oświadczenie: „Rząd włoski i albański oświadczają, że w razie gdyby wspólnie lub osobno otrzymały zaproszenie z jakiejkolwiek strony do rozpoczęcia rokowań odnoszących się do traktatu w Tiranie, ani Włochy, ani Albanja nie rozpoczną tego bez uprzedniego porozumienia się między sobą". Dodać należy, że traktat w Tiranie gwarantował stosunki polityczne nietylko między Albanją a Włochami, lecz wogóle ogólne stosunki z innemi państwami. Jeżeli teraz rządy włoski i albański ogłosiły oświadczenie, że wszelka międzynarodowa dyskusja w sprawie traktatu tirańskiego może nastąpić jedynie na podstawie obopólnego porozumienia pomiędzy Włochami i Albanją, to oświadczenie to jest tylko potwierdzeniem całkowitej kurateli włoskiej nad polityką zagraniczną Albanji. Olbrzym, wiodący za rękę karła, pójdzie chyba drogą własną. Jeżeli dodamy, że finanse albańskie są zupełnie w rękach Włoch, to oczywiście trzeba skonstatować, że Albanja stała się prowincją, albo, jeżeli ktoś woli, kolonją włoską. Pogłoski o zamiarze Achmeda Zogu ogłoszenia się królem albańskim, są dla polityki międzynarodowej obojętne.

Rewizja w Towarzystwie sowieckiem. W nocy z piątku na sobotę policja londyńska dokonała siłą otwarcia kas pancernych w sowieckiem tow. handlowem „Arcos" w Londynie. Ten sposób został użyty dlatego, ponieważ urzędnicy sowieccy odmówili wydania kluczów i dobrowolnego otwarcia schowków. Jak donosi telegram z Londynu, kierownik policji politycznej londyńskiej przed przystąpieniem do wyłamania schowków wezwał ponownie funkcjonarjuszów sowieckiego Tow. handlowego do dobrowolnego otwarcia kas, zostawiając do namysłu 3 godziny czasu. Urzędnicy odpowiedzieli, że w kasach nie znajduje się nic podejrzanego, że jednak muszą obstawać przy swem stanowisku, iż nie wydadzą kluczów, albowiem kasy te należą do sowieckiej urzędowej reprezentacji handlowej. Wobec tej odmowy przystąpiła policja do przebicia murów otaczających boczne ściany tresorów. Robotami, do których użyto 300-konnego świdra pneumatycznego, kierowali inżynierowie. Przebijanie trwało całą noc, gdyż mur betonowy miał 7 stóp grubości. Dopiero nad ranem zdołano dostać się do tresorów. Znaleziono w nich ogółem 7 i pół tonn papierów, które rozpoczęto badać, przy użyciu do tego kilkudziesięciu agentów tajnej policji. Wśród dokumentów jest wiele szyfrowanych. Policja pozostanie w biurach „Arcos" aż do ukończenia badania papierów. Anglicy dokonali tej rewizji, mając wszelkie dane, że w kasach sowieckich znajdują się ważne dokumenty, które wyświetlą akcję bolszewicką przeciw Anglji. Dotychczasowe dane stwierdzają podobno, że bolszewicy przyczynili się do zamordowania Petlury.

Demonstracje w Moskwie. W związku z rewizją w towarzystwie „Arcos" w Londynie bolszewicy zorganizowali w Moskwie demonstracje przeciw poselstwu angielskiemu. Policja otoczyła gmach poselstwa kordonem, aby demonstrantów doń nie dopuścić. Demonstranci usiłowali kordon dwukrotnie przerwać. Spalono kilkadziesiąt portretów angielskiego ministra spraw zagranicznych Chamberlaina.

KRONIKA.

Rzadki wypadek. W rodzinie znanego w Przemyślu, emerytowanego od niedawna pedagoga prof. Stojanowskiego zaszły dwa wypadki niemal równoczesnej śmierci. Mianowicie, przed paru dniami zmarła mu po krótkiej chorobie 72-letnia żona, a w parę chwil później 95-letnia matka. Pogrzeb obydwu kobiet odbył się przy wielkim napływie publiczności w jednym dniu razem.

Zamach na sędziego. Ze Lwowa donoszą: Podczas rozprawy w sądzie przeciw Michałowi Chmielowi oskarżonemu o obrazę sędziego, gdy prowadzący sprawę sędzia Dr Fraenkel pouczał obwinionego o przysługujących mu środkach prawnych, Chmiel wyjął nagle z kieszeni kamień wagi kilograma i rzucił na sędziego. Dr Fraenkel zerwał się z krzesła i dzięki temu uniknął uderzenia w głowę. Trafiony jednak został w pierś, tracąc na chwilę przytomność. Chmiela po spisaniu protokółu odstawiono do więzienia.

Tajemnicze samobójstwo. Ze Lwowa donoszą, że onegdaj dwóch uczniów 5 klasy gimnazjalnej: Bronisław Lubczyński i Włodzimierz Pietrzak uciekło w nocy z domu i rano zastrzelili się na łące pod miastem. Obaj samobójcy zostawili listy, w których stwierdzają, że odbierają sobie życie, ponieważ od kilku miesięcy się nie uczą, więc życie nie ma dla nich wartości.

Ostrożnie z obelgami. Dzienniki czeskie zamieszczają sprawozdanie z oryginalnego procesu, który toczył się niedawno przed trybunałem praskim. Niańka, zniecierpliwiona zachowaniem się siedmiomiesięcznego niemowlęcia, niechcącego wziąć do ust smoczka, krzyknęła: „Czy będziesz wkońcu ssał, ty bydlaku?!“ Ojciec dziecka, zasłyszawszy o tem brutalnem odezwaniu się, zaskarżył niańkę do sądu, domagając się ukarania jej za bezpodstawne rzucanie obelg. Wobec skruchy, okazanej podczas procesu przez oskarżoną, powód cofnął w ostatniej chwili zażalenie, zadawalniając się surową naganą, udzieloną niańce publicznie ustami przewodniczącego trybunału.

Walka z krótkiemi włosami. W małem mieście niemieckiem Tannrod (Turyngja) wynikł zatarg pomiędzy dyrekcją tamtejszych zakładów elektrycznych, a robotnicami na tle... sposobu czesania się. Administracja zażądała mianowicie, by cały personal kobiecy nosił krótkie włosy, chcąc w ten sposób zapobiec ewentualnemu powtórzeniu się tragicznego wypadku, który miał miejsce. Tryby maszyny pochwyciły jedną z robotnic za włosy i oskalpowały ją — trybunał uznał, że było to okaleczenie w czasie pracy i przysądził odpowiednie wynagrodzenie. Robotnice odmówiły obcięcia włosów ze względów oszczędnościowych, utrzymując, że niskie zarobki uniemożliwiają im noszenie tak kosztownego uczesania. Dyrekcja zgodziła się z tą argumentacją i... podwyższyła płace, pod warunkiem wszakże, że dodatek ten użyty będzie na chodzenie do fryzjera.

Nowy środek na cukrzycę. Na dorocznym konsie chirurgicznym, odbywającym się w Berlinie, odczygretany został referat o nowym środku na cukrzycę, zwanym „Horment“, a wynalezionym przez słynnego prof. Noordena z Frankfurtu, jednego z największych niemieckich lekarzy chorób wewnętrznych dzisiejszej doby. Jest to preparat mający formę pigułek, co znacznie ułatwia leczenie. Prof. Noorden zakomunikował o swoim wynalazku teraz dopiero, kiedy cały szereg doświadczeń dowiódł, że „Horment“ jest lekarstwem nietylko skutecznem, ale absolutnie nieszkodliwem.

Małpolud. Z Budapesztu donoszą: Na dworcu wschodnim w Budapeszcie panował onegdaj niebywały tłok. Przybyły setki ciekawych, którzy pragnęli oglądać własnemi oczyma małpoluda, jadącego z miejscowości Abony do stolicy. Gdy człowieka-małpę wyprowadzono z wagonu, wzmocniony kordon policji musiał otoczyć wyjście, odpierając szturm tłumu, spragnionego osobliwego widowiska. Małpolud liczy lat 24 i jest synem rolnika Jana Assay. Ma on 1 metr 44 cm. wzrostu i na całem ciele porośnięty jest gęstym włosem. Ma niskie czoło małpy, długie, nadmierne ręce, może się poruszać tylko przy pomocy czterech kończyn. Zarówno ojciec, jak i matka tego potwora są ludźmi zupełnie normalnymi i oprócz małpoluda posiadają czworo dzieci zdrowych i normalnych. Już zaraz po urodzeniu chłopiec-małpa zwracał na siebie uwagę silnem owłosieniem. Ponieważ dziecko jeszcze w piątym roku życia nie mówiło wcale, więc ojciec zawiózł je na klinikę, aby je tam zbadano. Lekarze stwierdzili wówczas, że to dziecko wykazuje instynkty zwierzęce i oświadczyli, że zaradzić temu nie mogą. W miarę rozwoju zwierzęce właściwości potworka ujawniały się coraz wyraźniej. Rodzice sądząc, że Szani, tak zwał się ów chłopiec małpa, jest poprostu zwierzęciem, przenieśli go do stajni pomiędzy krowy, konie i kozy. W tem otoczeniu małpolud przepędził lat dziewiętnaście. Wreszcie przed dwoma miesiącami Szani dostał ataku wściekłości. Przywiązano go postronkiem do żłobu, ale udało mu się wyswobodzić. W kilka minut pojawił się na rynku miasteczka, gdzie wzbudził postrach, zdziwienie i ciekawość. Zawezwano żandarmerję, która biedne stworzenie schwytała i odprowadziła do domu. Szaniego uwiązano na łańcuchu, chcąc zapobiedz ponownej jego ucieczce. Pewien przedsiębiorca, posłyszawszy o tym wybryku natury, postanowił wykorzystać tak niezwykły okaz. Przewieziono go tedy do Budapesztu, gdzie ma być zbadany naprzód na klinice, a potem pokazywany jako osobliwość.



Transport człowieka-małpy nie był bynajmniej rzeczą łatwą. Przedewszystkiem należało go ubrać, a Szani zrywał ze siebie odzież, którą mu nakładano. Dopiero po związaniu mu rąk i nóg udało się okryć ubraniem jego nagość. Umieszczony w przedziale kolejowym, Szani z początku zachowywał się spokojnie, ale w pewnym momencie, korzystając z nieuwagi swych dozorców, rozbił szybę i chciał wyskoczyć. Zdołano go przytrzymać i skrępować w ostatniej chwili. W ciągu krótkiej podróży z Abony do Budapesztu, spożył 3 kilogramy chleba i funt słoniny, połykając to wszystko odrazu. W Budapeszcie żaden dorożkarz nie chciał wziąć do swego powozu człowieka-małpy, tak, iż ostatecznie musiano go prowadzić przez miasto na linie. Wreszcie pozwolono go umieścić na przedniej platformie tramwaju. Wszyscy pasażerowie opuścili tramwaj przed małpoludem.

Zemsta apaszów. W okolicy „Halles aux Vins“ w Paryżu znajduje się mały hotelik „Pod Białą Różą“, zamieszkały przez szumowiny społeczne. Właścicielem hotelu był stary kutwa Mr. Jacob Creuzot, który niemiłosiernie egzekwował od swych lokatorów komorne i za najmniejsze uchybienie w porządku domowym wymawiał mieszkanie. Zwali go więc lokatorzy „panem komisarzem“ i bali się jak ognia. Przed kilku dniami stary kutwa wyrzucił ze swego domu dwu apaszów, którzy zalegali z komornem. Wypędzeni znaleźli się bez dachu nad głową. Stary nie dał się wzruszyć. Wobec tego apasze poprzysięgli mu zemstę. W nocy weszli do jego mieszkania, zakneblowali starcowi usta i odrąbali mu głowę. Dokonawszy tego potwornego czynu, zniknęli bez wieści.

Odznaczony błazen. W Paryżu odznaczono błazna cyrkowego orderem, który jest wyłącznym udziałem uczonych, poetów i działaczy społecznych. W tych dniach słynny błazen paryski Mr. Coco otrzymał palmy akademickie, jako nagrodę za swój niewyczerpany humor i sztukę akrobatyczną. Mr. Coco liczy obecnie lat 45 i od 9 roku życia występuje w cyrku. Właściwe jego nazwisko brzmi: Raul Louin. Przed kilku laty policja paryska zabroniła mu wykonywania niektórych sztuk akrobatycznych, ponieważ były zbyt karkołomne i wywoływały spazmy wśród widzów. Coco jest bardzo popularną osobistością paryską i cieszy się wielką sympatją publiczności. Co tygodnia rozśmiesza do łez 60.000 ludzi, daje im chwilę wesołej rozrywki.

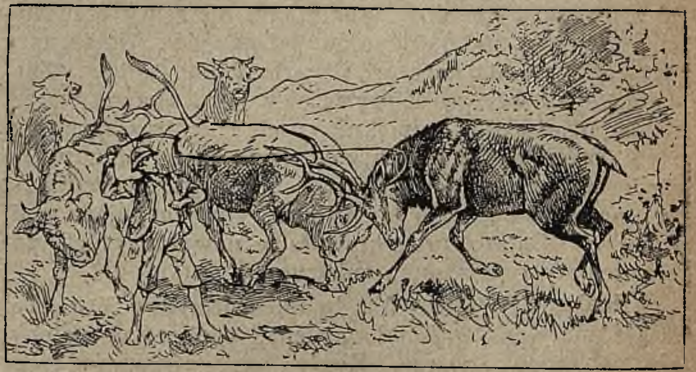
Barbarzyński wymiar sprawiedliwości. Francuscy strażnicy celni, pełniący służbę na granicy belgijskiej, schwytali w tych dniach psa, który odpowiednio przez swojego pana-kontrabandzistę wytresowany, przemycał tytoń. Oczywiście pięciokilowa paczka tytoniu uległa konfiskacie, pies zaś, stosownie do przyjętego zwyczaju, jak donoszą pisma, został zabity, a jedną z łap, odciętą specjalnie w tym celu, doręczono jako dowód komendantowi posterunku celnego. Towarzystwo opieki nad zwierzętami zaprotestowało przeciwko tak barbarzyńskiemu stosowaniu przysłowia: „Ślusarz zawinił, a kowala powieszono“.

Stutysięczny obywatel. Mieszkańcy miasta Groningen, starego siedliska handlowego w północnej Holandji, przeżywali niezwykłe wzruszenia. Dnia 1 stycznia 1927 roku liczyło miasto 99.747 obywateli. Rada miejska uchwaliła, iż stotysięczny stały mieszkaniec powitany będzie bardzo uroczyście. Postanowiono obdarować go tuzinem srebrnych łyżek z herbem miasta i złożyć w banku na jego imię 200 guldenów. Wkrótce jedna z sal ratuszowych zapełniła się darami, w postaci pięknych serwisów, mebli, obrazów, nie brakło też ofiar w gotówce dla nienarodzonego jeszcze obywatela. Z każdym dniem wzmagała się ciekawość, która rodzina obdaruje miasto 100.000 mieszkańcem. Robiono nawet zakłady. Na panią Huzinga stawiano 732, za Lemersanową deklarowano 593. Los pomięszał jednak przewidywania, 20 kwietnia urodził się panu Eghertowi Gramsbergerowi syn. Podobiznę stutysięcznego obywatela umieszczono wśród wieńca wawrzynów na frontonie ratusza. Malec otrzymał tysiące powinszowań i podarunki przedstawiające wartość kilku tysięcy guldenów.

Nieprzyjaciel krótkich włosów. Wśród Amerykan, przebywających w Paryżu i Londynie, zapanowało wielkie wzburzenie. Bogaty amerykanin Hick wybrał się do Europy z dwiema córeczkami, nietylko po to, by pokazać im paryskie i londyńskie dancingi, ale by przedstawić je na dworze angielskim. Zaopatrzył się on w polecenia poselstwa amerykańskiego w Londynie, a śliczne panny Hick już w myśli witały królową i króla angielskiego. Ceremonja ta poprzedzoną bywa długotrwałą nauką ukłonów dworskich i szyciem przepisowych, mocno staroświeckich strojów. przydatnych tylko na ten występ. Jakież było przerachowanie rodziny Hick, gdy oznajmiono im, że w tym roku na przyjęcie dworskie nie będą dopuszczane damy z krótkiemi włosami. Królowa niema coprawda nic przeciwko temu, ale król nie życzy sobie tego stanowczo. Skądże wziąć tak nagle długie włosy? Już myślano o fałszywych warkoczach, gdy dekret królewski został zmieniony. Na przyjęcie dworskie dopuszczone będą te wszystkie damy, które potrafią umocować w swych włosach przepisowe trzy pióra, w jaki to sposób, wszystko jedno. Krótkowłose damy odetchnęły. Rodzina Hick przygotowuje się do uroczystości.

Dziecko - wilczak. Angielskie dzienniki z dnia 5 b. m. donoszą z Allanabad w Indjach: Policja miejscowa powiadomiona przez pasterzy, wybrała się do jaskini w okolicy Maiwana, położonej na zupełnem odludziu, i tu złapała dziecko lat sześciu, żyjące z wilkami Dziecko jest całkiem dzikie, chodzi jakby na czterech łapach a na plecach ma zgrubiałości, podobne do odcisków. Porusza się bardzo zwinnie w pół siedzącej postawie, pomagając sobie rękami, nie umie nic mówić, tylko głośno szczeka. Wygląda normalnie z wyjątkiem opadających oczu i dużej blizny na policzku. Ciało mizerne, jakby źle odżywiane. Żywi się trawą i korzonkami. Od czasu do czrsu miewa oznaki gniewu i wtedy gryzie swe ciało lub atakuje ludzi lub gryzie ziemię. W takich chwilach bywa bardzo silne. Umysł jego jest całkiem nierozwinięty, zmysły przytępione, nie rozróżnia między trawą a korzynkami. Dziecko narazie zamknięte jest w ogrodzeniu, później ma być przewiezione do do szpitala pod obserwację lekarską.

Walka jelenia z krową jest rzeczą niebywałą, choć wiemy, jak różne zwierzęta lubią ze sobą walczyć. Taka właśnie walka stoczyła się niedawno w pewnej górskiej okolicy. Krowy powracały wieczorem z pastwiska do domu. Kiedy szły powoli gościńcem popod las, pędzone przez pastucha, z poza drzew pojawił się wielki jeleń, ryknął po swojemu głucho i skoczył na krowę. Niektóre przestraszyły się na widok zwierzęcia, którego krowie oczy nie widziały dotychczas, podniosły w górę ogony i poczęły uciekać pędem ku domowi.



Ale jedna jakaś była śmiała i niewiele się namyślając, rzuciła się rogami na jelenia, aby go pobość. Jeleń widząc, że nie przelewki, także łeb nachylił i zaczęła się walka. Pastuch, 16 letni syn gospodarza, ochłonąwszy z pierwszego zagapienia, zaczął oba zwierzęta okładać batem, ale musiał długo bić, zanim się rozdzieliły. Pierwszy ustąpił jeleń i uciekł pędem w las.

Pływający teatr. Stocznia w Genui zajęta jest obecnie przekształcaniem jednego z wielkich okrętów

na teatr. Okręt posiadać będzie wielką salę teatralną, zdolną pomieścić do 1.500 widzów, oraz scenę zaopatrzoną we wszystkie udoskonalenia techniczne. W pozostałych częściach parowca znajdować się będą: dancing, restauracja i kajuty personalu artystycznego. Pływający teatr będzie mógł odbywać podróże po wszystkich częściach świata i łatwo opuszczać te miasta portowe, których mieszkańcy nie dostarczą odpowiednio licznej publiczności.

Złączone na wieki. W miejscowości Berck nad morzem pani Simon rzuciła się do morza, przywiązawszy do siebie sznurem małą swoją córeczkę. Ciała zostały wyrzucone przez fale na brzeg. Matka samobójczyni, dowiedziawszy się o nieszczęściu, popełniła samobójstwo, zatruwając się gazem świetlnym. Przewieziono ją do szpitala. Przy zwłokach pani Simon znaleziono karteczkę z następującemi słowami: „Straciłam moich najdroższych, idę, aby połączyć się z niemi".

Plaga szczurów. Sowiecki urząd statystyczny wyliczył, że straty materjalne, zadawane Rosji przez pleniące się tam zastępy szczurów, dochodzą do olbrzymiej sumy jednego miljarda rubli rocznie. Przypuszczalna ilość tych gryzoniów, należących do najbardziej tam rozpowszechnionych zwierząt, wynosi 150 miljonów, czyli, że każdy szczur „objada" Rosję na 7 rubli.

Sowiecka formalistyka. Rosyjska gazeta p. t. „Sowiecki Jug" opisuje nieprawdopodobne a jednak autentyczne zdarzenie. W Symferopolu zmarła staruszka Szabdinowa, członek miejscowej kooperatywy ubezpieczeniowej, wobec czego zwrócono się do zarządu, prosząc o udzielenie niezbędnej na pochowek sumy. Owszem, ale należy takie podania w sposób właściwy załatwiać, sekretarz wystosował przeto do administracji szpitala, w którym owa staruszka umarła, następujący „papier": „Uprasza się o określenie i zakomunikowanie kooperatywie, wiele procentowo wynosi utrata zdolności do pracy zmarłej Szabadinowej. Dane te są konieczne, aby można ustalić rozmiar subsydjum na pogrzeb". Administratora szpitala widać w ciemię nie bito, gdyż odpowiedział bezzwłocznie: ....a według naszej oceny Szabadinowa utraciła całych 100 proc. zdolności do pracy, ponieważ nie jest już w stanie nawet się ruszać".

Odkrycie nowych pól djamentowych. Gazety przynoszą sensacyjne wiadomości o odkryciach nowych pól djamentowych przy ujściu rzeki Oranje w Afryce Południowej. Pracami zawiadywali dwaj badacze Afryki Dr Merenski i Reuning. Znalezione djamenty przedstawiają wartość 150.000 funtów szterlingów. Największy djament waży 81 karatów i warta 7.000 funtów. Znalezione djamenty są najczystszej wody a znawczy orzekli, że należą do najpiękniejszych i najdroższych kamieni, jakie kiedykolwiek znaleziono. Rząd południowo afrykański wydał nową ustawę, mocą której szukanie za djamentami zostało obostrzone, aby zapobiedz nadprodukcji. Dalsze poszukiwania w nowoodkrytych polach zostały tymczasowo zakazane.

Szalony wicher. Miasto Rocksprings w Stanie Teksas (Ameryka Północna) nawiedził wicher tak szalony, jaki się rzadko zdarza. Miasto całe, z którego tylko sześć domów pozostało nietkniętych, przedstawia widok kupy gruzów. Z mieszkańców przeszło 50 jest zabitych. Wedle innych doniesień nawet 125, a około 150 ciężko rannych.

Czy nie zapóźno? Komendant policji w Chicago wydał swoim podwładnym w następujący sposób zredagowany rozkaz dzienny: „Przedewszystkiem strzelajcie do przestępców, a potem możecie już zadawać im pytania, jakie uważacie za stosowne". Coprawda na usprawiedliwienie energicznego komendanta należy dodać, że miasto to zdobyło rekord bandytyzmu, tak. że kontyngent policji został ponownie zwiększony o 3.000 posterunkowych. Ale, czy pytania po strzałach nie są spóźnione, zwłaszcza jeśli podwładni jego mają celne oko?

Samochody w areszcie. W Brokley w Kalifornji jeden z sędziów zaczął stosować nowe kary na szoferów stawionych pod sąd za nieostrożną jazdę. Sędzia doszedł do wniosku, że areszt i grzywny nie odnoszą skutku, postanowił przeto aresztować auta na dłuższe terminy. Będzie to, zdaniem sędziego, kara skuteczniejsza niż odbieranie praw jazdy, gdyż uniemożliwiająca ukaranemu używanie i wykorzystanie samochodu. Kara taka i u nas przyniosłaby zapewne niemałą korzyść społeczeństwu.

Nieme psy. Jednemu z hodowców kanadyjskich udało się otrzymać drogą skrzyżowania syberyjskiego psa pociągowego ze zwykłym kundlem domowym nową odmianę psa, którego oryginalność polega na tem, że nie szczeka on wcale Jedynym dźwiękiem, wydawanym przez niego, jest rodzaj krótkiego wycia, a i to tylko w tym wypadku, gdy jest bardzo głodny.

Skutki orkanów. Gwałtowne deszcze i huragany szalejące w kilku stanach zachodnich Ameryki Północnej spowodowały śmierć znacznej liczby osób a wielu innych pozbawiły dachu nad głową. W środkowej części stanu Kansas, w środkowej części stanu Missuri i w mieście Garland stanu Texas szalały huragany. Wiele osób zostało zabitych. W stanach sąsiadujących z Górami Skalistemi, spadł śnieg w wielkiej ilości, co stanowi fakt niezwykły o tej porze roku. „Chicago Tribune" donosi z Memphisu w stanie Tennessee, iż niezwykłej siły orkan zniszczył częściowo cztery miasta. Jedna osoba została zabita, kilka odniosło rany. Szkody materjalne obliczają na kilkaset tysięcy dolarów.

Człowiek o dwóch sercach. Pisma amerykańskie donoszą, że pewien lekarzy amerykański stwierdził podczas badania jednego z popisowych, iż ma on dwa serca. Jak wiadomo, serce ludzkie składa się z dwu części z t. zw. serca lewego i serca prawego, które jednak stanowią jedną całość. Otóż wspomniany popisowy posiadał, jak wykazały badania lekarskie, obie części serca od siebie oddzielone, tak, że właściwie ma on dwa serca w pełnym słowa tego znaczeniu. Młody człowiek, który jest najzupełniej zdrowy, nie miał najmniejszego pojęcia o nienaturalnej budowie swego organizmu.

Wstrzemięźliwość parlamentarzystów japońskich. Jedno z tokijskich pism przytacza interesujące dane cyfrowe, dotyczące spożywania napojów wyskokowych przez członków japońskiej Izby parów. Okazuje się, że wypito w ciągu całego roku zeszłego 4.800 litrów piwa oraz 1.263 litry „sake" to jest wódki krajowej. Wnioskując z powyższych ilości, każdy parlamentarzysta wypija przeto dziennie 18 centylitrów piwa i 49 mililitrów alkoholu, co świadczyłoby nader chlubnie o wstrzemięźliwości wybrańców narodu. Redakcja wyraża jednak przypuszczenie, że ta oficjalna statystyka nie jest jeszcze miarodajna, gdyż należałoby stwierdzić, czy i wiele piją japońscy deputowani poza Izbą parów. Wartałoby przeprowadzić podobną statystykę i wśród naszych posłów sejmowych. Można się spodziewać, że wypadłaby ona znacznie gorzej.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Augusta Wagnerówna ze Szczakowy na fryzjera dla Maćka 2 zł., Tadeusz Kryniger z Płazy dla Kaśki na wianek 1 zł., Chłop z Grajowa dla Kaśki na wianek 50 gr., Mieczysław Przybyłowicz z Niedźwiedzia 2 zł., Kazimierz Leśniowski z Limanowej dla Maćiusia 1 zł 50 gr.

RZECZY CIEKAWE.

Najnowszy polski wynalazek.

But dzisiejszy ma jedną wadę, że gdy jest zniszczony, reperacja musi trwać kilka lub kilkanaście godzin. Wynalazek p. Antoniego Siekacza usuwa tę niedogodność, dzieki niemu bowiem można będzie zamienić podartą zelówkę lub obcas w ciągu paru minut. Obcas składa się z dwu części, zamiennej, ze skóry i stałej masy (klingerytu). Zamienianie polega na tem, by część zamienną wsunąć w specjalny czworobok, znajdujący się przy bucie, jako część stałą. Dokoła części stałej biegnie wyżłobienie, które dopasowuje się z częścią zamienną. Podeszwa składa się również z dwu części, stałej i zamiennej, między któremi znajduje się prożek skórzany, chroniący but od przenikania wilgoci. Zamiana odbywa się tak, jak z obcasem z tą różnicą, że przy obcasie znajduje się wyżłobienie przy części zamiennej, gdy przy podeszwie przy stałej.

Szewc-poeta.

Pisma węgierskie poświęcają entuzjastyczne artykuły twórczości poetyckiej Józefa Bako, który do niedawna jeszcze był czeladnikiem szewskim w zapadłej wsi, w okolicy Szombately. Wśród wieśniaków uchodził Bako za zdolnego majstra i chętnie powierzano mu robotę. Szył mocne i zgrabne buty. Największą jednak jego osobliwością było, że między jednym a drugim sztychem układał rymy. Sława tych wierszy rozchodziła się nietylko po wsi, gdzie zjednała mu przezwisko „warjata", ale dotarła aż do miasteczka. Poezją Joszíki Bako zainteresował się nauczyciel literatury węgierskiej i miejscowy biskup. Utwory jego wysłano do Budapesztu, a dwaj znani krytycy, Dr Mikes i Andor Petardi, ogłosili je drukiem, sławiąc talent Joszíki, jako oryginalne i niezwykłe zjawisko literackie. Ubogi szewczyk nie odczuwa jeszcze uroku sławy, jaka na niego spłynęła. Za honorarjum, uzyskane z wydania poezyj wyjechał do Budapesztu, aby po raz pierwszy w życiu ujrzeć stolicę.

Ryby czarownice.

Amerykańskie pisma donoszą, że zoologowie wykryli w Kalifornji w zatoce Montrey, nowy gatunek ryb. Jest to niewidoma ryba, o purpurowem zabarwieniu, długa na 75 centymetrów, posiadająca aż trzy serca. Nazywano ją „haglish", co znaczy ryba-czarownica. Ta niewidoma czarownica odznacza się niezwykłą żarłocznością i zwinnością. Żadna inna, słabsza od niej ryba, nie może uratować się przed pościgiem czarownicy, o ciele węgorza. Badania dowiodły, że zamiast oczu natura obdarzyła tę rybę ostremi zmysłami — dotyku i powonienia. Złapana „haglish" została wpuszczona do obszernego basenu, gdzie przez dłuższy czas przebywała w samotności, zachowując się zupełnie spokojnie. Jednak, gdy bez najmniejszego hałasu wpuszczono do basenu inną rybę, czarownica w jednej chwili zwęszyła ją i zaatakowała. Badacze byli zdziwieni, widząc, że niewidoma ryba, ścigając zmykającą od niej ofiarę, z największą ścisłością powtarzała wszystkie ruchy i zwroty, ani razu się nie pomyliwszy. Takiego straszliwego i okrutnego ślepca naprawdę nazwać można czarownikiem.

W Ameryce południowej i w Afryce środkowej tubylcy nazywają słowem „nango", co oznacza pewną kastę czarodziejów, elektryczne ryby, z rodzaju Gimnotów. Jak wiadomo, ten gatunek posiada specjalny narząd, który, w chwilach podrażnienia, powoduje gwałtowne i silne wyładowanie elektryczności, pozbawiając człowieka przytomności, a nawet podobno powodując śmierć.

Obydwa te gatunki ryb „czarownic", są, obdarzone przykremi cechami — drapieżnością i złośliwością. Natomiast azjatyckie ryby, posiadające też tytuł „czarownic" są zupełnie potulne. W jeziorach: Nogan, Buir, Dolen, Iamdok, Teltung i in., buddyjscy kapłani znają kilka gatunków ryb, z rodzaju karpiów i pstrągów, o łusce, ozdobionej dość różnorodnemi centkami i paskami. Łapiąc te ryby — lamowie — wróżbici z rysunku łuski odczytują losy państw, wiary i władców, a nawet imiona pretendentów na trony arcykapłanów i królów.

Wogóle ryba odgrywała w kultach wielką rolę. Szczególnie zaś w kultach azjatyckich: w Indjach istniały boginie o rybiem ciele, kulty asyryjski i babiloński znały takież bóstwa: chetycka bogini Ma miała kształty rybie, a przeszedłszy do Afryki wraz z najeźdźcami, kult swój utrwaliła wśród murzynów.

Człowiek chodzący po murach.

Niezwykłego złodzieja ujęła w tych dniach po długich poszukiwaniach policja berlińska. Nazywa się Paweł Kassner. Kradzieży dokonywał, nabywszy zadziwiającej biegłości w spinaniu się na mury, zwłaszcza frontowe, przyczem okradał z łatwością mieszkańców wyniosłych hoteli, zamieszkujących najwyższe choćby piętra. Talent ten jest rodzinny, ponieważ starszy brat łazika po murach, okradł przed kilku laty mieszkańców hotelu Kaiserhof w Berlinie. Przyłapany, odsiaduje dobrze zasłużone więzienie. Paweł, obecnie 27-letni, przewyższył brata w sztuce łażenia po murach. Okradał najwyższe piętra hoteli i mieszkań prywatnych w Berlinie, Frankfurcie, n. M., Wiesbadenie, Dysseldorfie i w in. Syt sławy, zapragnął się ożenić i to go zgubiło. Zmieniwszy nazwisko, przedstawił się jako majętny kupiec i zaręczył się z córką zamożnego kamienicznika w Berlinie. Ślub był paradny, a przy uczcie obfitej i wspaniałej, wypito 40 butelek szampana. Wtedy jednak wszczęli zaproszeni goście bójkę tak hałaśliwą, że wmieszała się w to policja. Goście poszli do kozy. Ale nowożeniec się ulotnił. Śledztwo jednak ustaliło, że zaginiony pan młody nie jest kupcem i że to właśnie jest Paweł Kassner, oddawna poszukiwany łazik po murach. Narzeczona, nie wiedząc o przeszłości pana młodego, musiała zwrócić dar ślubny w postaci kosztownej bransoletki, skradzionej niedawno w sanatorjum w Wiesbadenie, 72-letniej baronowej Münchhausen, która ze strachu przed złodziejem, który wszedł do niej przez okno 4-go piętra zmarła na atak sercowy. Kassner miał oprócz sztuki łażenia, brzydkie przyzwyczajenie, że nie było bójki, w którejby nie brał chętnie udziału. W kilka dni później aresztowano grupę bijących się w okolicy dworca szczecińskiego. Poznano w jednym z uczestników poszukiwanego pana młodego, który zresztą dzięki swemu talentowi, zdołał już kilkakrotnie umknąć po murze z różnych więzień.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Stanisław Rzepa w Z.**: Liczba Czytelników „Roli“ ciągle się zwiększa. Niestety, nie jest ona jeszcze taką, jaką byćby powinna, a składa się na to kilka powodów. Po pierwsze jeszcze jest u nas zbyt wielka liczba analfabetów całkowitych, którzy zupełnie czytać nie umieją, a jest też dużo i takich, którzy znają sztukę czytania, ale nic nie czytają. Tych ostatnich możnaby do czytania zachęcić, gdyby tylko każdy z naszych Czytelników wziął sobie za zadanie zjednać co miesiąc choćby jednego prenumeratora. Przyczyniłby się tem nietylko nam, ale całemu społeczeństwu przez szerzenie w ten sposób oświaty. Drugą przyczyną jest pewnego rodzaju lenistwo. Znamy wielu takich, którzy lubią bardzo czytać i nawet nie pożałowaliby grosza na gazetkę, ale nie chce im się iść na pocztę i wpłacić prenumeratę. Pozyskanie takich nie jest trudne; trzeba im tylko rzecz ułatwić. **Józef Kulka z B.**: Nie nadaje się do „Roli“. **Władysław Biedroń w P.**: „Oda do pracy“ nie jest poezją, ale są to zwykłe rymy bez większego polotu. **Jan Karaś w D.**: Słusznie Pan twierdzi, że rozpowszechnianie dobrego pisma jest obowiązkiem każdego, kto pragnie prawdziwej oświaty wśród swych rodaków.. Dziękujemy. **K. Leśniowski w L.**: Numera wysłaliśmy. Dziękujemy bardzo za poparcie — również Maciuś dziękuje za poparcie finansowe. Gdy tylko miejsce posłuży, wiersze umieścimy. Okładkę przesłaliśmy. Cześć! **Karol Lewicki w St.**: Do p. Jasielskiego rzeczywiście „Rolę“ posyłamy i wtedy mogły być już rozsprzedane — przypuszczamy, że więcej zamówi; w tej sprawie wysłaliśmy pismo do p. Jasielskiego. Komplet od października wraz z prenumeratą na cały rok bieżący wynosi 13 zł. 50 gr. i Panu wysłaliśmy. „Rola“ w wojsku zaczyna zyskiwać sympatję i już jej jest dość wesoło, bo ma kilku muzykantów z 52 p. p. ze Złoczowa. Za dotychczasową przysługę bardzo dziękujemy i prosimy nadal. Cześć! **Karol Sołtysik w P.**: Może Pan stawić się osobiście w P. K. U., gdzie Panu informacyj udzielą. Jeżdżenie do P. K. U. niepotrzebne, bo ogłoszenie wyraźnie brzmi, że trzeba wnieść podanie i naturalnie podać swój dokładny rodowód. **Bronisław Błachowicz w R.**: Do wyrównania prenumeraty całorocznej potrzeba 8 zł. 50 gr. Pod wskazanymi adresami „Rolę“ wysłaliśmy. Dziękujemy. Cześć!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 maja b. r.

Pszenica .	60·00—61·00	Słoma długa	5·00— 5·50
Żyto . .	53·00—54·00	Ziemniaki stoł.	12·00—14·00
Owies . .	43·00—44·00	Koniczyna nasienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień .	43·00—45·00		
Groch zwyk.	48·00—53·00	Mąka pszen.	93·00—95·00
Fasola biała	55·00—60·00	Mąka żytnia	77·00—78·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Giełda pieniężna

Dolary Stanów Zjed.	8·94—8·90	Korony czeskie	26·44—26·50
Funty szterl. . .	43·46—43·58	Franki szwajc.	172·04—172·47
Franki francuskie	34·96—35·05	Liry włoskie .	48·67—48·55

Okładki na „Rolę“ są gotowe i wszystkim, którzy nadeślą 2 zł. zaraz wyślemy. Okładki są bardzo ładne, z wybitym rokiem złoconym 1926/**1927** jak również ze złoconymi ornamentacjami.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Włodzimierz Szewczuk ucz. kl. IV. gimn. w J.).

■ ☆ ☆ ☆ ■ Gatunek.
■ ☆ ■ Śmierć w obcym języku.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Tarcza Zeusa.
■ ☆ ■ Wspak okrycie rąk.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Ozdobna książka.
■ ☆ ■ Wspak protoplasta Jończyków.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Gryzoń.
■ ☆ ■ Wspak głos bociana.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Oprawa do obrazu.
■ ☆ ■ Zaimek.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Miasto w Polsce.
■ ☆ ■ Przyrząd sportowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Samoobrona roślin.
■ ☆ ■ Wspak zbójca (bez ostatniej litery).

Początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół dadzą imiona i nazwiska dwóch sławnych ludzi w Polsce.

2. Szarada.

(Ułożył J. Grzyb, st. szer. 12 p. p. z W.).

Od pierwszej, drugiej mniejsi, słabsi stronią,
Czwartej i drugiej myśliwy upatruje z bronią,
Trzecie, czwarte i pierwsze gratis dostaniecie.
Całość zaś jest zazwyczaj spotykana w lesie.

3. Zagadka.

(Ułożył Władysław Ptasiński z B.)

Z pięciu głosek się składam,
Cztery nazwy wypowiadam,
Trzy głoski służą do płacenia,
Trzy również — odmówienia,
Trzy imię pierwszego żeglarza wymawiają,
A całość ludzie nad głowami mają.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Czesław Kozłowski).

I.

Ira Tial
Busk.

II.

Eryk Teo
Port

III.

Artur Noe
Perm

Z podanych liter ułożyć tytuły poszczególnych osób.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 28 bm.

Znaczenie zagadek z Nru 19 „Roli“: 1. Logogryf: Stanisław Konarski. 2. Szarady: Zakonnica, karabin. 3. Zagadki: Nawóz. 4. Przestawianka: Heca, gama, fama, Emma, dama, cera, baba, alba.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Patulski z S., Wojciech Pijar z D., Jan Borkowski z D., Aleksander Kadłubowski z T., Stanisław Bulek z O., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Piotr Galacz z C., Wincenty Flis i T. Sroka z L., Edward Cygan z B., Józef Kaizer z W. G., Feliks Popielarczyk z W. D., Eugenja Wyszyńska z Ł., Gabrjel Wirstnik z Szcz., Jakób Babiarz z R., Alojzy Cieślar z J., Jan Wyrobek z J., St. Kosowski z P., Stanisław Matysik z K., Wł. Gleń z M., Tomasz Dymanus z K., Korneljusz Madzia z H., Tadeusz Maniewski z D., Rudolf Kula z M. K., L. Jarolim z W., Karol Masłowski z M., Ludwik Kostecki z L., Józef Morys z C.

Nagrody wylosowali pp.: L. Jarolim z W. i Tomasz Dymanus z K.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni «Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Dziesięcioro przykazań dla żony.

1. Pamiętaj nie mieć żadnych przyjaciół — oprócz własnego męża.
2. Nie nadużywaj imienia twego męża i nie rób długów na jego rachunek.
3. Nie zakłócaj pokoju domowego o lada drobnostkę.
4. Schodź mężowi z drogi, gdy zły i jeżeli go się boisz, udawaj strach przed jego gniewem.
1. Nie rozbijaj talerzy i garnków — a przynajmniej nie na głowie męża.
6. Nie ozdabiaj głowy twego małżonka w niepotrzebne akcesorja.
7. Nie okradaj siebie ni męża na zdrowiu przez kłótnie i swary.
8. Nie mów nigdy źle o mężu, nawet gdybyś miała dowody jego czynów, bo co dziś jemu — jutro tobie zdarzyć się może.
9. Nie pożądaj kosztownych i coraz nowych toalet, jeżeli nie chcesz przyprowadzić męża do torby i kija.
10. Nie pożądaj zbyt ani balów, ani pikników, ni rautów i nie tryndaj się.



Dlaczego czerwone wino jest droższe od białego?
Sądzi pan, że farba nic nie kosztuje?

Dziewiąty cud.

— Powiadam ci, że moja narzeczona jest prześliczna. Ósmy cud świata!

— Poczekaj trochę, a poznasz dziewiąty.

— No?

— Przyszłą twoją teściowę.



Do rabina przychodzi pewien żydek i zwierza mu się, że za parę dni ma się wychrzcić.

— Co mówisz za głupstwa — krzyknie rabin — czy wiesz, że twój ojciec nieboszczyk, jak się o tem dowie, przewróci się w grobie.

— To nic nie szkodzi, ba za parę tygodni wychrzci się i mój brat młodszy, to nieboszczyk obróci się drugi raz napowrót i będzie znowu leżał w porządku.



Jeden rekrut podnosi lewą, a obok stojący prawą nogę.

Komenderujący krzyczy: „Jaki to osioł podniósł obie nogi?"

Aby ułatwić zachęcanie do zaprenumerowania „Roli" wszystkim nowym Prenumeratorom dajemy numera dla całości rocznika z I-szego kwartału za 2 zł 60 gr.

Gdy wyczytasz ogłoszenie
I uczynisz zamówienie,
Pisz wyraźnie i powoli,
Ześ to czytał w naszej Roli.

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli" poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

Wszystkich prenumeratorów prosimy o adresy osób, któreby mogły „Rolę" zaprenumerować, a numera okazowe im prześlemy.

Numerów z r. 1926 t. j. od początku wydawania „Roli" posiadamy jeszcze tylko po kilkanaście egzemplarzy i kosztują tylko 1 zł. 50 gr.

Kalendarze już wyczerpane!

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: **Konto pocztowe 406.301 Kraków.**

Na reklamacje znaczków pocztowych się nie nalepia, pisząc na zwykłej kartce „Reklamacja": Nr... nie otrzymałem i swój adres.

Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.

OKŁADKI NA „ROLĘ" twarde, mocne, gustownie wykonane z wybitym rokiem w cenie 2 zł. wraz z przesyłką pocztową wysyła Administracja „Roli". Wysyłka następować będzie partjami po 25 sztuk.

Przy przesyłaniu pieniędzy należy zaznaczyć na co są przeznaczone.